

DZIS i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Rok III

Warszawa, 19 stycznia 1947 r.

CIV 9013 Nr 3 (60)

TREŚĆ NUMERU: K Koźniewski — Jeden świat, St. Rembek — Wyrok na Franciszka Kłosa, J. Dobraczyński — Kompleks i Kłeska, W. Kętrzyński — Oryginalna polemika, — K. Kk. — Proces Rzepeckiego, Nasza ankieta.

Bolesław Piasecki

Kryzys myśli i niepokój serca

Europa która w dalszym ciągu pozostaje źródłem idei dla całego świata jest w stanie kryzysu duchowego. Dzieła intelektualistów, wypowiedzi polityków, przeżycia mas dostarczają materiału do różnych ujęć istoty tego zjawiska.

Barbarzyńcy zalewają świat — takie sformułowanie napotykać często, w refleksjach kulturalnych społeczeństw europejskich. Według tego rozumowania barbarzyńcy stanowią raz przyczynę, raz objaw kryzysu.

Przyczynę — gdyż postępujące barbarzyństwo powoduje rozkład. Objaw — bo czyż mogliby zwyciężyć barbarzyńcy, gdyby stara kultura nie była w agonii.

Dla starego Europejczyka istnieją dwa gatunki baz barbarzyńców: Barbarzyńcy z kompleksem wyższości i barbarzyńcy z kompleksem niższości. Oba ich rodzaje nie odczuwają szacunku profanów wobec pięknej — starej kultury europejskiej. Wprost przeciwnie obnażają oni całkowicie upadek, chorobliwą słabość i rozkład tej kultury.

Barbarzyńcy z kompleksem niższości triumfują poczuciem swojej energii i wiary w konieczność realizowania postawionych sobie celów nad strofią i zanikiem sił duchowych kulturalnej Europy. Z drugiej jednak strony odczuwają oni podziw dla piękna i głębi ginącego świata. Inaczej postępują barbarzyńcy z kompleksem wyższości. Nie mogą zrozumieć problematyki starej kultury, uznają ją nie tylko za przegrana, ale za niepotrzebną. Ich uśmiech wyższości opiera się na łatwym spojrzeniu nierozumienia i nieodczuwania.

Postawa starej Europy wobec nacierających przybyszów jest intelektualnie bezbronna. Stara kultura nie ma w tej chwili idei tak atrakcyjnej, by zasymilować barbarzyńców do starej tradycji. Europa nie ma siły, by ich przemienić, adoptować duchowo. Nie, barbarzyńcy budzą jedynie poczucie strachu i zmęczenia. Okrutną zaś jest myśl współczesnego zachodu dla próbujących ją ratować. Okrutną w swym sceptycyzmie. Nie ma czego szukać — mówi współczesna Francja — wszystko jest już powiedziane. Odkryć można tylko prawdy już znane, a te nie zmieniają rzeczywistości. Nie ma zatem ratunku.

* * *

Prosta obserwacja wskazuje, że istnieją we współczesnej Europie tylko dwa ośrodki, które szalejącemu kryzysowi duchowemu się oparły.

Pierwszym z nich jest katolicyzm pojęty jako religia. Ludzie odeszli od Boga, wskaże każdy wierzący katolik, określając przyczynę kryzysu. Tak samo mówili katolicy o powodach załamania duchowych społeczeństw we wszystkich minionych wiekach i tak samo powiedzą we wszystkich przyszłych. Żywa wiara w Boga jest dla katolika niewatpliwym ośrodkiem dla odparcia każdego kryzysu epoki. Żywa wiara jest bowiem łaską.

Drugim środowiskiem gorącym nad współczesnym załamaniem duchowym są wierzący marksiści. Nie wierzą oni w Boga. Ufają natomiast swojej metodzie rozumienia świata. Skomplikowane i wyrafinowane przeżycia współczesnego zachodu stanowią dla marksistów przewidywane ich teorią objawy degeneracji hamletyzującej burżuazji. Kultura przegranych historycznie warstw posiadają-

cych wylania przed swym nieuchronnym zgonem jednostki, które niepotrzebnie zastanawiają się, czy „być czy nie być”. To zastanawianie się choć wymaga czujności

jest w gruncie rzeczy dla marksistów problemem mało ważnym. Nasuwa się tu pytanie, jak to się stało, że choć ośrodek katolicki i ośrodek marksistowski sto-

ją poza kryzysem tyłu Europejczyków jest w stanie duchowego załamania. Dla czego obok walczących z sobą ideologicznie katolików i marksistów stoi zniechęcona, ginąca w rozkładzie masa sceptyków. W Europie dzisiejszej nie ma „mody” na żywy katolicyzm, czy fanatyczny marksizm, jest natomiast moda na wątpiący sceptycyzm.

I nie poto, by godzić zwaśnionych wytykaniem wzajemnych błędów, a samemu zajmować stanowisko trzecie nadrzędne, powiemy, że przyczyny tego sceptycyzmu tkwią w niedostateczności filozoficznej nowoczesnej myśli katolickiej i marksistowskiej.

Każdy pogląd na świat zdolny organizować życie społeczeństw składa się z dwojakiego rodzaju tez: wyjaśniający rzeczywistość świata, czyli eksplikatywnych, oraz też wskazujących człowiekowi, jak powinien postępować, czyli normatywnych.

Otóż będąc katolikami obdarzonymi łąską wiary, mając tylko jeden stosunek ideologiczny do marksistów — chęć ich nawrócenia — stwierdzić musimy niedostateczność współczesnej myśli filozoficznej i katolickiej. Myśl katolicka jako system normatywny, opiera się bezpośrednio o prawdy religijne i jest niewzruszona, doskonale przekonywująca. Zmian tu nie było i nie będzie. Można tylko próbować wyrażać dostatecznie głęboko normy katolicyzmu. W tym punkcie wszyscy znający swą religię katolicy czują się mocni. Natomiast myśl katolicka pojęta jako system eksplikatywny, tłumaczący jak świat istnieje, jest historycznie zmienna. Zależy ona od stanu nauki i rozwoju społeczeństw. W tej dziedzinie współczesna myśl katolicka ma zasadnicze braki. Nie stworzono dotychczas wielkiej współczesnej konstrukcji filozoficznej uwzględniającej rozwój wiedzy i komplikacje przeżyć wewnętrznych i społecznych jednostki.

Marksiści naodwrot. Posiadają oni wykończoną całkowicie, często uwodzącą swą logiką, metodę wyjaśniania wszystkiego, co się na świecie dzieje. Nie dyskutując tu z prawdziwością tej metody trzeba stwierdzić, że marksistowski system motywacji etycznej postępowania jednostek i społeczeństw jest dużo mniej konkretny. Dlaczego należy kochać bliźniego, jakie są sprawdziany w postępowaniu dobra, piękna, prawdy — są to zagadnienia postawione w filozofii marksistowskiej w sposób bądź zawity, bądź ogólnikowy.

Marksizm jest dla nas katolików ideową prowokacją do stworzenia doskonałej metody wyjaśniania biegu rzeczy na świecie. Jesteśmy przekonani, że nie bardziej nie zbliży marksistów do katolicyzmu, jak chwila, gdy katolicyzm stanie się dla nich prowokacją do pogłębienia psychologicznych i etycznych założeń ich doktryny.

* * *

Niewatpliwie jest rzeczą bardzo rozsądną doceniać znaczenie problemów taktyczno-politycznych. Nie można jednak zgodzić się na jednostronny przerost tych zagadnień. Sprawa ta jest istotna dla współczesnej myśli polskiej. W politycznych rozważaniach jesteśmy skłonni rozumować bardzo szerokimi kategoriami. Łatwo docieramy w dyskusjach taktycznych do dalekiej Japonii, Peracji, czy Waszyngtonu. Ideologicznie natomiast żyje-

Wytyczne

WYBORY

W odeszwie grona działaczy katolickich, plakatowanej w pięciu Okręgach Wyborczych (Warszawa, Kraków, Poznań, Siedlce i Ostrowiec), w których zostały wystawione niezależne katolickie listy wyborcze, został użyty następujący zwrot:

„Głównym celem pracy w Sejmie Ustawodawczym wybranych posłów katolików będzie dążenie do zapewnienia religii katolickiej należnego Jej wpływu na akty ustawodawcze, ochrona katolickiego wychowania młodzieży, walka o prawne uznanie sakralnego charakteru małżeństw katolickich, a wszystko w trosce o odrodzenie moralne Narodu, oparte na zasadach chrześcijańskich”.

Owa troska o moralne odrodzenie narodu wysuwa się na plan pierwszy zainteresowań wszystkich działaczy społecznych. Jest ona motorem działania społecznego katolików, przenikną wszystkie dziedziny pracy, stanowi o obowiązku podejmowania najcięższych wysiłków.

Są liczne sposoby jej realizowania. Odpowiadające tym wszystkim dziedzinom życia ludzkiego, które składają się na pełną rzeczywistość istnienia człowieka w jego życiu osobistym i społecznym.

Wszystkie sposoby realizowania troski o odrodzenie moralne narodu służą jednemu celowi. Nie wszystkie posiadają równą wartość. Sposoby te można by nawet zbierarchizować, nazywając jedne zasadniczymi, merytorycznymi — a inne pomocniczymi.

Każda działalność polityczna nie jest celem samą w sobie. Służy celowi. To też działalność polityczna, wyrażająca się w wystawieniu kandydatury do Sejmu przez grono działaczy katolickich, ma przede wszystkim znaczenie pomocnicze. **P r z e d e w s z y s t k i m**, gdyż postawiony cel moralnego odrodzenia narodu dysponuje środkami realizacyjnymi, o wartościach i znaczeniu tak wielkim, przy których wszelka działalność polityczna schodzi wyraźnie do roli czynnika wtórnego. Czynnikiem ten nie ma znaczenia merytorycznego, ale ma znaczenie czynnika umożliwiającego lepsze działanie społeczne tych środków, którymi pracą nad odrodzeniem moralnym narodu dysponuje.

To trzeba powiedzieć bardzo wyraźnie. Tu trzeba zaakcentować i dobrze ustawić pojęcie pracy politycznej na odcinku odrodzeniowym. Aby nie było pomyłek. Aby nie było pokus zacieśnienia wysiłków odrodzeniowych do akcji politycznej, do poszukiwania w pracy tego typu łatwych efektów lub dla postawionego celu naprawdę nieważnych ewent. porażek.

W pięciu Okręgach działacze katolicy stają do wyborów. Została przyjęta postawa zdecydowana i czynna. Wobec tej postawy nie ma znaczenia fakt, że tylko w pięciu Okręgach zgłoszono listy kandydatów. Nie ma znaczenia fakt, że ta akcja wyborcza jest zaledwie jakby wstępem do rozpoczęcia pracy, którą całe społeczeństwo katolickie w Polsce z całym poświęceniem. Charakter tej akcji jest typowo awangardowy. Ma wyraźny charakter służby tym potrzebom katolickim, które były, są i będą realizowane na wszystkich odcinkach katolickich. Za taką pracę grono działaczy katolickich bierze samo odpowiedzialność. Nie angażuje n i k o g o. Działa w przekonaniu słuszności i potrzeby takiej decyzji. Podkreślić musimy, że w tej postawie należy widzieć nie tylko spełnienie politycznego obowiązku obywatelskiego, jaki nakłada troska o jego moralne odrodzenie. Chcemy s i u ż y ć idei odrodzenia, świadomie i bezkompromisowo. Działalnością na odcinku politycznym przyczynić się należy do tego, aby katolickie zasady moralne miały tym łatwiejszy dostęp do sumień i świadomości Polaków, im bardziej zdecydowane i bezkompromisowe będzie stanowisko w Sejmie tych posłów katolików, których społeczeństwo katolickie w Polsce 19 stycznia powoła.

Zasady religii katolickiej muszą mieć wpływ na państwowe akty ustawodawcze, katolicka młodzież polska musi być po katolicku wychowywana, sakralne małżeństwo katolickie musi znaleźć ochronę prawną, troska o moralne odrodzenie narodu, oparte na zasadach chrześcijańskich, musi być troską tych wszystkich czynników społecznych i politycznych w Państwie, które władzę ustawodawczą i wykonawczą w Nim sprawują.

Działacze katolicy znają swoją rolę. Wyznaczyli ją sobie nie od dziś. W dniu wyborów wiedzą o co walczą.

O przyczynienie się do realizacji celu odrodzenia moralnego na tym odcinku, który nie tylko że nie jest wykluczony z całokształtu dziedzin, składających się na życie człowieka, ale w życiu tym odgrywa nie-małą rolę.

Dm 591052

W kraju...**Udział działaczy katolickich w wyborach**

Niezależne Listy Działaczy Katolickich zgłoszone zostały w pięciu Okręgach Wyborczych. Ponieważ listy nie są oznaczone jednym numerem, prosimy o uważne zapoznanie się z treścią podanego niżej komunikatu. Zwracamy uwagę na podane wskazówki dla głosujących.

**NIEZALEŻNE LISTY WYBORCZE
DZIAŁACZY KATOLICKICH:
OKRĘG WYBORCZY Nr 1
WARSZAWA**

Numer listy 1

Nazwa listy:

**„NIEZALEŻNA LISTA
CHRZEŚCIJAŃSKO - SPOŁECZNA”**

Kandydują:

1. Kętrzyński Wojciech, dziennikarz
2. Filipowicz Zygmunt, ekonomista
3. Frankowski Jan, prawnik

**OKRĘG WYBORCZY Nr 46
(KRAKÓW)**

Numer listy 5

Nazwa listy:

**„LISTA BEZPARTYJNEJ INTE-
LIGENCJI CHRZEŚCIJAŃSKIEJ”**

Kandydują:

1. Bocheński Aleksander, publicysta
2. Rostworowski Stanisław - Kostka, działacz społeczny

**OKRĘG WYBORCZY Nr 31
(POZNAŃ)**

Numer listy 6

Nazwa listy:

„LISTA POLAKÓW-KATOLIKÓW”

Kandydują:

1. Pauksta Eugeniusz, dziennikarz
2. Kętrzyński Wojciech, dziennikarz
3. Bienkowski Witold, dziennikarz

**OKRĘG WYBORCZY Nr 18
(SIEDLCE, ŁUKÓW, BIAŁA
PODLASKA)**

Numer listy 1

Nazwa listy:

„LISTA POLAKÓW-KATOLIKÓW”

Kandydują:

1. Bienkowski Witold, dziennikarz
2. Kętrzyński Wojciech, dziennikarz
3. Zmigrodzki Kazimierz, adwokat

**OKRĘG WYBORCZY Nr 13
(OSTROWIEC)**

Numer listy 5

Nazwa listy:

**„LISTA
SPOŁECZNYCH KATOLIKÓW”**

Kandydują:

1. Frankowski Jan, prawnik
2. Grabowski Stefan, bankowiec
3. Filipowicz Zygmunt, ekonomista
4. Perzyński Maciej, adwokat

WSKAZÓWKI DLA GŁOSUJĄCYCH.

Przewidzieć należy, że wskutek braku pieniędzy, nie będzie można dostarczyć kartek wyborczych (numerków) w dostatecznej ilości. Prosimy zatem o wypisanie atramentem cyfry listy Niezależnych Działaczy Katolickich w danym okręgu, na białym kawałku papieru (format dowolny), bez stawiania kropek lub zamieszczania jakichkolwiek dopisków. Kartkę tę należy włożyć do koperty, do starej w lokalu wyborczym w dniu wyborów i wrzucić kopertę do urny.

my w dobrowolnym ghetcie. Trzeba zaś wyjść nam najprędzej poza opłotki tradycyjnych i przyzwyczajęń i zrozumieć przede wszystkim tę jaskrawą prawdę, że nasza macierzysta kultura europejska jest w rozkładzie. Znanym jest powszechnie zjawisko, że plemiona wysokogórskie najpełniej przechowują tradycje kulturalne. Otóż Polska może być w tej chwili porównana właśnie do takiego oddzielonego od świata środowiska, w którym kultura europejska jest najbardziej żywotna. Jak silna jest niszcząca trucizna rozkładu kulturalnego zachodu Europy zrozumieć możemy na przykładzie twórczości kulturalnej naszej emigracji.

Mimo wszystkich warunków technicznych i prowokujących okoliczności psychicznych nie ma tej twórczości, gdyż emigracja polska uległa powszechnej bezpłodności duchowej zachodu. Inny klimat psychiczny środowiska europejskiego niewątpliwie pomógł sto lat temu

Kazimierz Koźniewski

JEDEN ŚWIAT

Dwa czynniki wyznaczają obecnie ramy, w jakich — już teraz niezależnie od woli naszej — układają się i układać będą stosunki między krajami i narodami

W tej chwili, w rezultacie rozpętania przez rozum ludzki postępu technicznego, którego rozwój (jak napisaliśmy niedawno*) przestał już być kontrolowany przez rozsądek człowieka — jesteśmy mniej lub więcej biernymi uczestnikami tych spraw. Cała nasza mądrość — taka, jak ją wykazujemy w życiu społecznym — wysiła się jedynie na konstruowanie półśrodków, które będąc kompromisem między naszym rozumem a naszym uczuciem i przyzwyczajeniem — oczywiście nie są w stanie chronić nas od nieustających klęsk elementarnych. Dwa wspomniane czynniki, decydujące teraz o naszych losach — to czynnik gospodarczy i czynnik wojenny. Oba przysiężają uzależnione są od łączącego i przynajmniej — czynnika technicznego.

Istnieje jeszcze czynnik trzeci — świadomość narodowa. Czynniki ten — będąc jedną z niewątpliwych dźwigni całego współczesnego ustroju świata — w stosunku do dwóch poprzednio wymienionych odgrywa rolę raczej hamującą i on właśnie jest walnym sprawcą tego dramatycznego konfliktu, jaki wytworzył się między psychiką ludzi współczesnych a ich rozwojem cywilizacyjnym. Jest to tym dramatyczniejsze, iż równocześnie świadomość narodowa, proces jej kształtowania oraz jej oddziaływanie stały się dobroczynną i piodną podstawą rozwoju nowoczesnego świata. W czasach współczesnych jesteśmy jednak świadkami, jak świadomość narodowa u wszystkich narodów musi się dostosowywać (po dłuższym lub krótszym szamotaniu się, dłuższym lub krótszym wahaniu się) do wymogów techniki, jaką dysponuje sama, lub jakiej wobec niej używają inni. Jest to owa powolna i bolesna po większej części, rzadko tylko radosna i ochocza kapitulacja uczucia przed rozsądkiem. Dlatego też w poniższych szkicowych rozważaniach odłożymy chwilowo na bok sprawę oddziaływania czynnika świadomości narodowej — zastrzegając sobie jeszcze powrót do tego tematu przy innej okazji — i zajmiemy się wyłącznie dwoma wspomnianymi na początku czynnikami: gospodarczym i wojennym.

Im bardziej postęp techniki zwiększa możliwości wydobywania, a przede wszystkim transportowania, bogactw naturalnych ziemi, tym różnorodniejsze stały się możliwości produkcyjne poszczególnych krain. Raz oddaliliśmy się od przemieszczaniem na miejscu surowcami — myśli regionalnego, uwarunkowanego miejscowi producenci coraz obficiej czerpali z ogólnoswiatowej skarbnicy, coraz mocniej uzależniali się od odległych, od najodleglejszych złóż surowcowych. I teraz, z wyjątkiem specjalnego przemysłu ludowego czy chałupniczego — nie ma jakiegokolwiek wielkiej wytwórczości, opartej wyłącznie o posiadane na miejscu

*) por. „Bunt kwiatów przeciw korzeniom” w 56—57 Nr „Dzis i Jutro”.

powstać Wielkiej Emigracji — Refleksje myśli zachodniej, czy to na temat barbarzyńców, czy to na temat kryzysu duchowego, wynikają z psychicznej postawy, którą stanowi rezygnacja.

Nasze polskie refleksje, nasze polskie myślenia o bezradności i załamaniu się dorobku naszej chrześcijańskiej kultury europejskiej wynikają z niepokoju serca. Na zachodzie porównują się idee, by się nimi bawić, my je zestawiamy poto, by jedną z nich wybrać i według niej żyć. Nie wyobrażamy sobie życia, w którym nieposob jest kochać naprawdę żadnych celów.

Nie ma twórczości opartej o rezygnację. Jest natomiast wielka twórczość oparta o najgłębszy choćby duchowy niepokój. Na zachodzie jednostki czy środowiska, które się postawie rezygnacji przeciwstawiają są otoczone odosobnieniem. W Polsce natomiast wrażliwość ideowa pozostała żywotna w masie.

Świat stał się mały. Europa nie będzie już żyć w odosobnieniu. Dalsze istnienie kultury europejskiej zależy od szacunku, jaki wzbudzać będzie ona zarówno w Azji jak w Ameryce. Droga do tego wiedzie przez pogłębioną chrystianizację starej kultury naszego kontynentu, która da siłę duchowej adaptacji kulturalnych i niekulturalnych przybyszów. Europa musi chrystianizować swych sceptyków i swych barbarzyńców. Inaczej zginie.

Wkład duchowy Polski w to dzieło musi być duży. Jesteśmy bowiem największym rezerwuarem sił duchowych starej kultury. Od wartości twórczej tego wkładu i realistycznej polityki zależy przyszłość naszego Narodu.

Trzeba jednak stanowczo wyjść z ideologicznego zaścianka i oprzeć twórczość ideową na spojrzeniu w oczy prawdzie o stanie duchowym całej Europy.

Bolesław Piasecki

surowce. Jeżeli brać pod uwagę państwa (raczej związki państw!), to może jedynym teoretycznym wyjątkiem od tej reguły jest Rosja Sowiecka, ale praktycznie rzecz biorąc i ona nawet musi zabiegać o import z poza swych granic, często dlatego, iż opłaca się on lepiej, niż przez rzucanie surowców przez ogromne przestrzenie wewnątrz Związku Radzieckiego. Przemysł, jego żelazne prawa oraz jego zachłanne wymagania coraz bardziej zespala, ba! już nawet zespoliły świat w jedną całość, a procesowi temu nie stała wcale na przeszkodzie próba tworzenia surowców zastępczych.

Handel odznaczał się zawsze tendencjami kosmopolitycznymi. Dawniej ukroćcała je nieopanowana jeszcze wtedy przez człowieka natura; przestrzeń, morza, góry, rzeki, lasy. Były to przeszkody naturalne — naturalnemu stawiane prądy. Dziś, po szczęśliwym pokonaniu problemu przewozów i przestrzeni, temu naturalnemu prądowi — sztuczne stawia się tany. Tamy te tworzone są zresztą przez mężów stanu w imię zubożonych idei uszczęśliwiania własnych narodów już to sztucznie realizując lub chcąc realizować w ten sposób ich „dążenie do mocy” pięknijnej, politycznej czy militarnej (obronnej). Tego rodzaju posunięcia gospodarcze (wojny celne, bariery celne i tym podobne) odegrały wybitną rolę w dziejach ubiegłego wieku, rzeczywiście przyczyniając się zasadniczo do wzrostu potęgi i bogactwa różnych państw. W wieku XX jednak gdy jedność globu stała się jeszcze ściślejsza i doskonalsza — wydaje się, iż wymienione środki straciły swoją zamierzoną skuteczność. Tak czy inaczej — perturbacje te nie są w stanie przeszkodzić kosmopolitycznym tendencjom handlu — hamują je jednak nieco, deformują istotę wymiany towarów, przez co stają się zarodkiem nowych konfliktów.

Świat znajduje się już w takiej fazie swego rozwoju, że żadna cząstka jego terytorium nie jest w stanie obyć się bez dostaw surowcowych z każdego niemalże z pozostałych obszarów. Zjawiska gospodarcze, choćby występowały w najbardziej oddalonych od centr punktach globu — znajdują swój natychmiastowy odgłos w notowaniach giełdy dolarowej, a wobec tego wywierają automatyczny i natychmiastowy wpływ na wszelkie rozliczenia międzynarodowe, dokonywane z reguły po kursie pieniądza USA. Nie ma takich poważniejszych zjawisk gospodarczych, które nie dotyczyłyby się w mniejszym lub większym stopniu wszystkich giełd i rynków całego globu.

Procesy te zespoliły naszą ziemię w faktyczną jedność gospodarczą. Jedność tą odczuwaliśmy już przed wojną, mimo granic celnych z przedziwnym niekiedy kunsztem budowanych. Nader dokładnie i boleśnie odczuły ją narody europejskie w czasie wojny, tak zresztą jak odczuwały ją i wszystkie pozaeuropejskie kontynenty. Fronty zniekształcały to zjawisko, ale nie osłabiały jego siły. Przeciwnie — przez intensyfikację produkcji i konsumpcji zostało ono wzmocnione, choć nie zawsze mogło być zaspokojone.

Po wojnie ostatniej — tak na odcinku politycznym, jak gospodarczym — obserwowujemy próby dostosowania norm gospodarczego życia międzynarodowego do tych „rozkazów czasu” Stąd międzynarodowe konferencje gospodarcze i ich rezultaty: międzynarodowy bank odbudowy, międzynarodowe organizacje gospodarcze — aprowizacyjne, przemysłowe, komunikacyjne. Stąd coraz donioślejsze brzmiące projekty unii celnych między różnymi (np. Holandia, Belgia, Francja) obszarami państwowymi. Trzeba jednak obiektywnie przyznać, iż mimo zupełnie wyraźnych wymogów przemysłu i handlu, mimo wyraźnych potrzeb narodów słabszych, biedniejszych, zniszczonych wojną, dla których międzynarodowe organizacje gospodarcze są jedyną szansą odbudowy ich przemysłu i tym samym podniesienia stopy życiowej ich obywateli (tak jak międzynarodowe organizacje polityczne są jedyną szansą zapewnienia pokoju i rozwoju dla małych i słabych narodów) — próby te idą nader opornie. Rezultaty konferencji międzynarodowych nie zadawają naszych nadziei, ani naszych wymogów. Z jednej strony przyczyna leży niewątpliwie w tym, że instytucje te dopiero są w stanie organizowania się, ruszają się po omacku; z drugiej jednak strony instytucje te nie są dostatecznie powszechne, lub dostatecznie wewnętrznie jednolite — a to jest rezultatem dość paradoksalnego zjawiska: mimo swej jednolitości gospodarczej ustroje gospodarcze świata są nader różnorodne i różne. Nic tedy dziwnego, iż konie ciągnące w różnych kierunkach mało skutecznie pracują w jednym wspólnym zaprzęgu. Ponadto — światu brak jest jeszcze pewnej dostatecznej jednolitości politycznej, by nie istniały sprzeczne interesy polityczne, z kolei wytwarzające sprzeczne interesy gospodarcze. A do tego wszystkiego (jakby nie dość było na świecie kłopotów) narodom i państwom marzą się koncepcje kompletnych suwerenności gospodarczych, a ich rządy chcą naginać gospodarce i przemysłowe potrzeby ziem przezeń rządzonych do swych politycznych koncepcji. Prądy natury chce się ujarzmić, wtłoczyć w jakieś swoje, specjalne, partykularne koryto. Cóż to za żalosne widowisko!

Jeszcze raz wypada powtórzyć to, co na pisałem w poprzednim szkicu. — Najpierw człowiek sam wyzwolił siły natury i nadał im dzisiejszy bieg, a gdy działanie, którego był twórcą, przerosło jego siły i przechodził mimo jego życzeń i rojeń — stara się je skrepić, unicestwić, zmienić jego naturalny bieg, sam sobie przysparzając tylko niepotrzebnych cierpień. Tymczasem natury cofnąć się już nie uda. Prędzej czy później faktyczna gospodarcza jedność świata, znajdzie swój oficjalny i formalny wyraz.

Rzecz oczywista — to wszystko, co właściwie jest dla całego świata — tym bardziej właściwe jest dla małej Europy. I trudno zaprawdę ten nikły skrawek ładu dzielić jeszcze — niczym przysłowiowy włos — na strefy gospodarcze. Można go traktować tylko jako

Jan Dobraczyński

KOMPLEKS I KLĘSKA

Kiedyś, pamiętam, rozmawialiśmy z Kisielowskim na temat „Murów Jerycha” Brezy. Kisielowski oceniał tę książkę bardzo wysoko — ja znacznie niżej. Gdyśmy rozmawiali znałem z powieści Kisielowskiego*) tylko fragment drukowany swego czasu w „Twórczości”. Zrobił on na mnie duże wrażenie, według niego oceniałem książkę pozytywnie, jako wyrazistą, choć nie pozbawioną tonów satyry i gryzącej ironii, próbę odmalowania owego tragicznego września 1939 r. Nieomal przeciwstawiłem ten fragment Brezie: (u Brezy nie ma zresztą września, jest okres wcześniejszy) jest tylko analiza, analiza czasami ciekawa i głęboka, ale częściej analiza „rozłożona na części składowe”, rozmazana, zacierająca całość w powodzie szczegółów. Nie przypuszczałem, że gdy przyjdzie mi mówić o książce Kisielowskiego, będę musiał przeciwstawić ją powieści Brezy — jako rzecz w wielu szczegółach podobną, lecz w rozwiązaniu mniej szczęśliwą.

Powieść Kisielowskiego obejmuje historię dziwacznej „sprzysiężenia” trzech chłopców — potem trzech młodych ludzi. Ci trzej chłopcy, Zygmunt (bohater książki), Henryk i Stefan, związują się jeszcze na ławie szkolnej przysięgą, iż w imię zdobycia wielkości — nieokreślonej nieco i mocno przeintelektualizowanej w wyrazie — podejmą walkę z naturalnymi popędami, a przede wszystkim — i właściwie tylko — z instynktem płciowym. Zawarli ten pakt „walki z naturą”, rozstają się. Główny inicjator sprzysiężenia, Henryk, wyjeżdża z kraju. Kontakt Zygmunta i Stefana jest raczej daleki.

Jednak jakby rozbudzone przez szalony układ napiętności odzywają się gwałtownie w Zygmuncie. Młody człowiek właściwie się im nie broni. Szybko ulega pokusie zrezygnowania z przysięgi. Lecz przeintelektualizowanie — właściwe członkom sprzysiężenia — przerost ambicji oraz zabójcza introspekcja sprawiają, że bohater z jednej strony ulega zdecydowanej obsesji erotycznej, z drugiej — wytwarza w sobie kompleks impotencji płciowej. Dószedłszy wreszcie do przekonania, że jest impotentem, poświęca swój czas maskowaniu tego stanu własnie przez wytwarzanie wokół siebie atmosfery nadmiernej zmysłowości.

Cały ten problem — dość może i ciekawy sam w sobie — problem, w którego zawiązkach czuć na każdym kroku wpływ Stendhala, Balzaka, Dostojewskiego i Prousta (natomiast nie Conrada — choć go autor często cytuje) rzucony na tło dziejów ostatnich miesięcy przed wybuchem wojny razi i nuży. Wiemy, że Zygmunt jest artystą, dziennikarzem. Wiemy, że pracuje w piśmie. Echa wydarzeń historycznych docierają czasami do jego świadomości — i w tym odbiciu trafiają do czytelnika. Ale pomruk nadciągającej wojny nie znajduje dostatecznego wyrazu. O ileż więcej słyhać go u Brezy! Szerokie malowidło „Murów Jerycha” stawia nam przed oczy różne typy ludzkie. Prawda, że są to częściej typy niż żywi ludzie. Ale gdy ludzie u Brezy żyją nadciągającym konfliktem, bohaterowie Kisielowskiego przyjmują go nieco zdziwionym spojrzeniem, radzi mu nawet, jako czemuś, w czym zatonać potrafią ich nieszczęsne osobiste konflikty.

Obraz przedwojennego społeczeństwa, namalowany przez Brezę, drażni jednostronnością i brakiem kontrastów. Niestety, obraz tego społeczeństwa u Kisielowskiego jest sprowadzony wyłącznie do publicystycznego przeciwstawiania okliwej biernoty i doktrynerstwa lewicy — rozbuhaneemu „pawiemu” — w gruncie rzeczy całkowicie tepemu — stanowisku prawicy. Na marginesie tego stwierdzenia Zygmunt, który w tym momencie pełni funkcję „porte parole” autora, wypowiada szereg ciekawych po-

głądów, gloryfikujących indywidualizm i liberalizm.

Tam natomiast, gdzie autor chce upostaciować oba przeciwstawne sobie stanowiska ideowe, wprowadza epizodyczną postać Bronka Rosena, Żyda, socjalisty i patrioty, oraz groteskową pojawiającą się tylko jako motyw w tle postać „ichtiozaura”. Tragiczną więzią pomiędzy tymi postaciami jest Lewandowski — lotr, łobuz, „kanciarz” warszawski w najgorszym stylu. Lewandowski szantażuje Zygmunta i morduje Rosena rękoma obalamuconego Romana. Ten tok wydarzeń przypomina raczej występy jakiegoś Herrery-Vautrina, czy bodaj Ras-kolnikowa. U Kisielowskiego toczy się walka między indywidualnościami, a nie między masami, czy idea. To też ani Bronek, ani „ichtiozaurus” nie mogą pretendować do miana postaci charakteryzujących środowisko.

Następuje akt ostatni — wybuch wojny. Zygmunt zostaje wtłoczony w rytm potwornego bałaganu. Te partie powieści są doskonale: obraz jest tak plastyczny, że wywołuje u czytelnika — jako reakcję — prawdziwy potop własnych jego wspomnień. Drugoplanowe postaci — taki np. „szczeniak” podporucznik — są prawdziwymi perełkami kunsztu pisarskiego. Wreszcie kończy się tragiczny wrzesień. Zygmunt wraca do domu. Po drodze — romantyczna przygoda z młodą wdową, której następstwem jest rozładowanie kompleksu impotencji. Powrót do Warszawy. Tutaj bohater dowiaduje się wielu rewelacji na temat wydarzeń, w których brał udział przed wybuchem wojny, a których znaczenia wówczas nie rozumiał. Są to jednak rzeczy, które go już mało obchożą. Rozładowany kompleks i „nowa” Warszawa — Warszawa wojenna — stać się mają czynnikiem, pozwalającym mu inaczej odbudować ocalałe życie.

2

Jules Sorel w „Rouge i noir” Stendhala powiada po poznaniu tajemnic miłości fizycznej: „to tylko tyle?”. To powiedzenie jest prawdziwym leit motiwem powieści Kisielowskiego. Jej bohater nie tylko wobec tajemnic życia płciowego — ale wobec wszystkich napotykanich na swej drodze zagadnień ma stałą postawę zawiedzionego entuzjasty: tylko tyle?

Postawa ta jednak nie przeszkadza Zygmuntovi w ciągłym szukaniu nieznanego uroków. Niestety, terenem szukania jest prawie wyłącznie świat przygód erotycznych i pokusy pijaństwa („Pijanstwo to wspaniała rzecz!”, „Zygmunt gdyby miał do rozporządzenia dwa życia — na pewno jedno z nich całkowicie poświęcił by alkoholowi”). Rzecz szczególna — poza tymi dwoma zainteresowaniami Zygmunta, którym autor poświęca dużo miejsca i detalicznego opisu — wszystkie inne zainteresowania wyglądają błado. „Zygmunt uważał dziennikarstwo za swoje poboczne, a nawet czasami pasjonujące zamiłowanie... Patriotyzm — myślał Zygmunt — to przede wszystkim nie ideologia, nie program, nie definicja, ale instykt — instykt uczuć... Zygmunt kochał Polskę i Polaków... kochał, bo nie mógł nie kochać — lecz nie chciał ze swojej miłości budować systemu, czy mistycznej wiary...”. Życia religijnego Zygmunta nie uznaje — „nie lubił mitologii(?) chrześcijańskiej”. Jedyną filozofią, którą wyznaje, jest filozofia rozwoju i interesu osobistego jednostki. W jej imię potępi ideologię i mistycyzm. Ale jak to

nieraz bywało, potępiając ideologię w imię „zdrowego rozsądku”, zaczyna się budować własną — ideologię zdrowego rozsądku... „Zygmunt chce całkiem wyzwoić się z tej narodowej choroby (egzaltacji i romantyzmu) i dlatego proponuje tezę, że za najistotniejszy motyw życia narodu uznaje interes osobisty jednostek. Dosyć mamy już tu, w Polsce (?) germańskiej niedorzeczności, masowego mistycyzmu, zbawiania świata przez mit rasy i „narodu panów”... u-wolnijmy się radykalnie od ich przynajmniej duchowego wpływu na nas, zwracając się nie do ideologii, czy wiary, lecz do praktyki, która wyniosła na honorowe miejsce bogaczącą się, nabierającą znaczenia jednostkę — wszak naród, czy państwo nie jest mgławicową, mistyczną fikcją, lecz zbiorem jednostek. Zwróćmy się więc do kapitalizmu — Zygmunt wyraził zdziwienie, że wszyscy boją się słowa kapitalizm, kapitał jakby było ono nie-przyzwycię...”

Nie o to jednak chodzi, jaką ideologię, własną czy cudzą — wyznaje bohater powieści. Sprawa osobista autora jest obdarzenie bohatera taką czy inną właściwością. Natomiast autor musi raz podjętą koncepcję uzasadnić — pozytywnie, bądź negatywnie. Van de Meersch pisze powieści katolickie, ukazując rozkład życia poza moralnością katolicką. Czasami w jednym ostatnim zdaniu książki odkrywamy stanowisko autora. Natomiast Kisielowski, stworzywszy człowieka, który swój rozwój osobisty, swoje „egoistyczne prywatne wzbogacenie się” — w sensie tak materialnym, jak i duchowym... — stawia jako zasadę życiową, właściwie w pewnym momencie macha na to wszystko ręką, by rzucić swego bohatera w wir wypadków, nie będących w żadnym związku z konstrukcją ideową. Rozumiemy pociągający wpływ obrazu wojny. Ale ostatecznie wszystko tamto trzeba jakoś artystycznie wykończyć. Gdyby powieść Kisielowskiego była tylko jeszcze jedną polską próbą „Komedii ludzkiej”, czy „Pogonią za straconym czasem”, darowalibyśmy mu to schematyczne, zbyt uproszczone zakończenie. Ale „Sprzysiężenie” odbiega daleko od swobodnej konstrukcji powieści na tle artystycznego przeżywania psychoanalizy. Kompleks bohatera jest czymś tak niebywale małym w zestawieniu z ciężarem gatunkowym odtwarzanej epoki, że trzeba sobie zadać pytanie, czy mamy do czynienia ze stopem dwóch różnych wątków, z których większy pożarł w pewnym momencie mniejszy, czy też istnieje jakieś racje artystyczne, bądź ideologiczne, usprawiedliwiające przesłonięcie w pierwszych dwóch częściach książki tła historycznego przez ryzykowny i mocno miejscami przekolorowany kompleks bohatera?

3.

Szczerze mówiąc, gdybym nie miał do czynienia z Kisielowskim, gotów byłbym od razu odrzucić hipotezę drugą. Na pierwszy bowiem rzut oka w książce walczą ze sobą dwie konstrukcje: artystyczna próba ukazania człowieka z publicystyczną częścią „wygadania się” na temat pasjonującego momentu historii.

W tej walce artysta wlecze za sobą bałast publicystyczny. Breza robi to zgrabnie: rozdaje rolę, dramatyzuje. Ma zresztą świetne momenty — opis wyratowania spod lodu jest małym arcydziełem epiki, a zarazem prawdziwie artystycznej rezygnacji z tendencji. Kisielowski nie

ma jeszcze wprawy. Ten Zygmunt utwiczony wszystkimi „pod włosami”, jakie się autorowi zrodziły w latach 1942-1944, traci często cechy ludzkie, zamienia się na patefon. Jest niezgrabnym stopem inteligentnego publicysty o skłonnościach do wsadzania kija w mrowisko z młodym, zahukany przez swe „kalectwo”, człowiekiem zupełnie nie zdolnym do przyjęcia narzuconej mu przez autora swady.

Ale mamy do czynienia z Kisielowskim — z człowiekiem, który posiada niebezpieczny „façon de parler”, polegający na rzucaniu słów z „głupia franti” które potem dopiero narastają sensem. Kto więc wie, czy tak chybione artystycznie tworzywo nie jest tylko pułapką na naiwnych, która kryje niespodziankę?

Niespodzianka mogłaby być tylko jedna — gdyby za sprzysiężeniem trzech chłopców kryła się symbolika. Kto wie, czy ten rzetelny impotent Zygmunt nie wyraża swą postawą całego społeczeństwa. Niewątpliwie nie było ono zdolne do aktu twórczego na dużą miarę, ale ta nieudolność płynęła — co słusznie sam Kisielowski podkreśla w „Twórczości” w odpowiedzi na ankietę o dwudziestolecu literatury — z niemożności dogonięcia w czas postępu Europy. Byliśmy upośledzeni naszym losem historycznym, a nie wewnętrznymi brakami. W społeczeństwie polskim były nurty wcale pożyteczne, a ich dynamiki i właściwych cech nie chciał zauważyć Breza, tworząc naiwną postać Papary. Czas już, aby zanalizować zjawisko oddolnego „przebijania” się potężnego, katolickiego prądu społecznego, który szukał sobie w rozmaitych formach wyrazu. Dziś upraszamy siebie zagadnienie, patrząc na tamte czasy, jako na czasy antysemityzmu i bezpłodnego sanacyjnego „byczo jest”. I brutalny antysemityzm i sanacja były w społeczeństwie polskim zjawiskami naskórkowymi. To, co płynęło spodem — rozmaitymi strumieniami — szukało przede wszystkim wykrystalizowania własnej ideologii społecznej. Jeśli bowiem mówimy, że prądy te były prądami katolickimi, nie znaczy to wcale, że już miały określone postawę społeczną. Gdy mówimy, że ktoś jest katolikiem, określamy w ten sposób tylko i wyłącznie jego postawę religijną. Społeczna postawa katolicyzmu może być — i musi być — w każdym etapie historii wypracowywana. Dwudziestolecie nie zdążyło jej wypracować. Natomiast siedem lat okupacji i terroru zrobiło swoje: nurty zaczęły się zbiegać i łączyć. I dziś już tylko w społeczeństwie starych, zgranych polityków mówi się o „obronie ideałów katolickich”. Zanim się tej obrony podejmiemy, trzeba ją sformułować na miarę dzisiejszej epoki.

Ale to tylko dygresja. Ze Breza nie pojął znaczenia oddolnych ruchów społecznych w sanacyjnej Polsce — tych ruchów, które podcinały samo istnienie sanacji i tych wszystkich, którzy z łaski sanacji na różnych gałęziach życia państwowego siedzieli — to rzecz zrozumiała. Należy przecież do krytyków własnego „światka”. Nie możemy sobie jednak wyobrazić, aby impotencja wszystkich właściwie członków sprzysiężenia u Kisielowskiego miała symbolizować impotencję społeczeństwa. Prawda, że poza trójką młodych autor nie pokazuje nam nic ciekawego. Radca Gieysztor tani polityk, z tych, którzy weszły w polityce nie grę sił społecznych, ale „intrygę, zderzenia charakteru, grę przypadków i dziwnych splotów okoliczności” i którzy posiadają „zarówno zdolność do żonglowania poglądami cudzymi, jak i zdolność posiadania i ukrywania poglądów swoich”, naiwny Roman — późniejszy mordca Bronka, groteskowy i również naiwny Bronek, zupełnie pozbawiona oblicza Joanna — oto cała galeria. Poza nią jest jeszcze ciemny typ — Lewandowski. Na dalszym planie ojciec Zygmunta — sanator ewoluujący w kierunku nacjonalizmu — ale to postać mało wyrazista. Słowem obraz społeczeństwa jest tak niekompletny, tak właściwie ograniczony do wycinków, tak przytłoczony problemami Zygmunta — że o symbolice trudno jest mówić. Jeżeli się nawet autor z

WYDAWNICTWO E. KUTHANA W WARSZAWIE

zawiadamia, iż ukazała się

praca ADAMA KRZYŻANOWSKIEGO

prof. Uniwersytetu Jagiellońskiego

WIEK DWUDZIESTY

Str. 353.

Cena 600 zł.

Jest to historia dziejów społeczno-politycznych czasów najnowszych, uwzględniająca wydarzenia ostatniej wojny.

Książka opracowana na podstawie gruntownych badań naukowych, zredagowana została atrakcyjnie i ciekawie, by mogła dotrzeć do najszerszych warstw czytelników.

*) Stefan Kisielowski „Sprzysiężenie” — wyd. Panteon, Warszawa 1947 r.

ciszka Kłosa (6)

Powieść z roku 1943.

— Słuchaj, człowieku — zapytał go, gdy po skończonej służbie powracali do domów. — Coś ty tak skwaśniał jak po occie siedmiu złodziejęw? Teściowa ci wykitowała, żona ci się puściła, a czy po prostu wstał dziś rano do góry tykiem?

— Nie ma o czym mówić, panie Kranc. Mam swoje kłopoty.

— Kłopoty? No to kropnij jedną głębszą, a wszystko się wyjaśni.

— E, zostaw pan.

— Chodź, drabie jeden. Mówie ci.

Chwyć go pod ramię i wepchną do wymijanego właśnie baru.

— Matko, dwa dziecinne, tylko już, bo to dla chorego!

Kłosa dał się namówić na całą setkę. Dotychczas pijał tylko piwo, albo likier i to małymi kieliszkami. Po pewnym czasie przekonał się ku swojej radości, że rzeczywiście alkohol stanowi doskonałe lekarstwo na brak odwagi.

— No, panie Kranc, jeszcze po jednym.

— Ha, ha, ha! A co? Odkurwasz się, draniu?

I stało się tego dnia, że Kłosa upił się pierwszy raz w życiu. Właściwie było to tylko silne podchmielenie, w którym nie utracił zupełnie świadomości swoich czynów. Poiegalo na tym, że w kółko oświadczał się za swoim podziwem i wierzył przywiązaniem „panu” Krancowi, oraz powtarzał, że nie boi się „szczeniaków” z tajnych organizacji. Kranc śmiał się tylko na całe gardło i klepał go po ramieniu, aż się rozlegało.

Już się ściemniało gdy opuścili ostatnią kawiarenkę, gdzie wypili ćwiartkę pod firmowy pieczony boczek, oraz zakropili to ciekim piwem bez chmielu, wydawanym zresztą tylko zasadniczo dla Niemców. Zbliżała się godzina policyjna. Ulice były puste. Kłosa odruchowo sięgnął do pistoletu i odpiął pochwę. Kranc zauważył to.

— Ha, ha, ha! Widzę, chłopie, uważasz, że najlepszą zakąską po sznapsie — to świeże mięso żydowskie. Poczekaj, teraz przyszedł ostatni pociąg z Warszawy, może co upolujemy.

Przechodzili właśnie przez przejazd kolejowy na ulicy Przebitykowskiej. Widać tam było w mroku błękitne światła pociągu elektrycznego. Kranc ruszył torem w jego stronę. Kłosa postępował za nim z pistoletem w dłoni. W pewnej chwili Kranc zaszczeptał gardłowo, jakby się dławiał swoimi słowami.

— Halt! Hände hoch!

Jakiś mężczyzna szedł w ich stronę. Najwidoczniej chciał się wymknąć nie narażając się na spotkanie z bilerem, czy zandarmami, stojącymi przy wyjściu z dworca. Teraz zatrzymał się z podniesionymi rękami. Kranc był już przy nim

przytykając mu do brzucha wylot pistoletu maszynowego.

— Ausweis!

— Mezczyzna sięgnął lewą dłonią do wewnętrznej kieszeni marynarki i wydobył portfel. Kranc wziął rozpylacz pod pachę i zaświecił elektryczną latarkę. Kłosa szedł ciągle w tę stronę z pistoletem w dłoni.

Naraz stało się coś nieoczekiwanego. Zatrzymany skręcił się błyskawicznie w groźny kłęb, trzasnął nadstawionym łbem w twarz Kranc, aż rozległo się ciche a miękkie uderzenie, oburącz wyrwał zandarmowi rozpylacz i rzucił się do ucieczki, i skałeczono język. Jego brutalny pogromca przebiegł z bronią obok Kłosa. rzuciwszy nań z ukosa bystrym okiem w człowieka w śmiertelnym niebezpieczeństwie, który w lot ocenia swoje położenie. Widocznie rozpoznał mundur polskiego policjanta i znał, że nie mu z tej strony nie grozi. Ale Kłosowi cała ta sprawa przedstawiła się całkiem inaczej. Był on przecie człowiekiem walki, a poza tym posiadał pierwszą nagrodę szkoły policyjnej w strzelaniu z broni małokalibrowej. Szybkość wydarzeń nie pozwalała mu na szersze rozumowania. Wystarczyło, że ktoś zaatakował jego przyjaciela, kiedy szli razem po miłej pijatce. Położył swój pistolet na zgiętym łokciu i oddał trzy strzały, aż mu w uszach zadzwoniło, a w oczach pozostały fiołkowe plamy po błyskach wystrzałów. Uciekający padł.

— Rany Boskie! Rany Boskie! Co się dzieje! Co się dzieje!

Od strony dworca rozległo się parę pośpiesznych wystrzałów karabinowych, czy pistoletowych, oraz wściekle okrzyki niemieckie, zatupały podkutę buty i gromada zandarmów oraz policjantów kolejowych nadbiegła zatrzymując się nad powalonym Krancem oraz jego pogromcą. Jeden z „czarnych”, jak nazywano u nas policję kolejową z powodu tej barwy naramienników, podskoczył do Kłosa, który bezmyślnie zapinał swój pistolet do pochwy.

— Was machst du da, polnisches Schwein? — ryczał zachłystując się z przejęcia. — Was machst du da?

Zamierzył się okuciem kolby w pierś Kłosa, ale stracił równowagę i musnął go tylko po szyi.

— Was machst du da, polnischer Bandit?

Zatrzymał się wreszcie na rozkraczonych nogach i zaciekle, ale przez to bez skutku targał zamkiem karabinu, chcąc wyrzucić wystrzeloną łuskę.

Tymczasem nadbiegli wrzeszcząc inni Niemcy. Kłosa wytrzeźwiał w jednej chwili. „Zamordują mnie”. Było to pewne i nieuniknione, bo jak wytłomaczyć

cokolwiek stada wyjących wściekłych zwierząt?

Naraz Kranc, który siedział na ziemi jęcząc i spluwając krwią, zerwał się jednym susem i doskoczył do czarnego.

— Halt, du Schaffskopf. Was fur eine Dummheit? Es ist mein Freund! Er hat ja diesen Banditen niedergeschossen!

I za chwilę stał się cud. Wściekłość Niemców znikła, niby obraz zerwanego filmu. W mroku zabłysnęły wyszczerzone w usmiechu zęby. Wszyscy go klepali po ramionach, po łopatkach.

— Na, brawer Kerl! Tuchtiger Bube!

Kłosowi ciągle wydawało się, że śni. Zresztą widział wszystko przymglone, a raczej jakby roztapiające się i rozedrgane.

— O, Jezu mój! Jezu, Jezu, Jezu!

„Kto to tak jęczy? Ach, to ten zastrzelony przeze mnie bandyta. Trzeba go dokończyć, czy w ogóle coś z nim zrobić, bo nie można słuchać tego stękania”.

Kranc pierwszy przed Kłosem podszedł do rannego i podniósłszy leżący obok swój pistolet maszynowy, kopnął go w bok z całej siły.

— Zdychaj cholero, taka twoja mać!... — warknął po polsku.

Inni Niemcy podskoczyli za nim i oświecili leżącego latarkami. Kłosa zbliżył się również bezwolnie i bezmyślnie. Ranny leżał na wznak na kamiennym parapie. Oczy miał zamknięte. Oburącz obciążał w dół pasek od spodni. Koszulę w biało-niebieską szachownicę miał ściągniętą ku górze, pod żebra. Z brzucha wystawał mu jakby krwawy pęcherz. Tyle tylko Kłosa zauważył, gdyż zaraz cofnął się nie mogąc słuchać jęków konającego. „Żeby go kto dobił narazcie”!

Za przykładem Krancu inni Niemcy jeli kopać leżącego gdzie popadło.

— Schweig Hund! Schweig polnisches Schwein!

Ranny umilkł natychmiast. Widocznie miał na tyle przytomności, aby zrozumieć, iż popadł w ręce straszliwych wrogów, od których nie mógł się spodziewać nie tylko ratunku, ale żadnej łitości. Jakiego żołnierza bez karabina a nawet bez bagnetu, zamiast którego zwiślała mu u pasa pusta żabka, rzemienna, zaczął krąwędzią prawego obcasu kuć go po twarzy w najwidoczniejszym zamiarze wybitcia mu oczu. Kłosa nie mógł już na to patrzeć. Chwył Kranc za ramię.

— Panie Kranc, trzeba by zabrać jako tego rannego do szpitala.

Ten wyszarpnął się nieprzytomnie i zawołał do reszty Niemców.

— Los!

Odstąpili natychmiast. Mały zandarm zaczął rewidować kieszenie umierającego. Znalazł kartę rozpoznawczą i zaczął czytać głośno:

— Edward Wolusiak, urodzony trzydziestego października 1918 roku w Zarebacz Kościelnych. Na, das ist ja alles falsch...

Podszedł do leżącego, przytknął mu wylot rozpylacza do piersi i wystrzelił, aż zabłysło i w uszach zadzwoniło.

— Schon! Fertig!

Kłosa był ciągle oszołomiony i ogłuszony. Wszelkie głosy dochodziły go jakby zza ściany, przytłumione i bezbarwne. W oczach miał zielone plamy po błyskach wystrzałów. Wydawało mu się, że wszystko jest snem. To niemożliwe, że bym ja zabił człowieka! I czyżby to było tak łatwe zostać zbrodniarzem?

Nie słyszał, co do niego mówiono, nie wiedział nawet w jaki sposób dostał się do domu. Dopiero podczas całkiem bezsennej nocy przemyślał swój czyn i mogąc zeń wyniknąć skutki.

Nazajutrz idąc na służbę wstąpił do restauracji i wypił parę kieliszków. Od tego czasu pił już ciągle.

X

Przez parę dni po zabójstwie Zemana miasto nasze było jak wyludnione. Wszycyśmy się bałi wytknąć nosa na ulicę. Jaki taki wyszukiwał w domu czy obejściu skrytek, gdzieby można było chociażby tylko dzieci ukryć przed wściekłością odwetu niemieckiego, o którym nikt nie wątpił, że będzie straszny. Od wybuchu wojny było to przecie pierwsze zabójstwo Niemca w naszym mieście. Dopiero na trzeci dzień po nieprzespanej nocy, spędzonej w twrodze i w głuchej ciemności przy szczelnie zasłoniętych czarnym papierem oknach, zaczęto wysuwać się ostrożnie na zwiady. Oczywiście młodzieży nie wypuszczaliśmy nadal.

(C. d. n.)

Tydzień kulturalny

W WALCE O DZIECKO

ADA Naukowa dla Ziem Odzyskanych na plenarnym posiedzeniu IV sesji dnia 21 grudnia 1946 r. podczas obrad w ratuszu krakowskim pod przewodnictwem ministra Wł. Wolskiego uchwaliła w trybie nagłym następujący wniosek znanego katolickiego powieściopisarza i publicysty Władysława Jaka Grabskiego:

„Wobec katastrofalnych strat w ludności, jakie naród polski poniósł w czasie ostatniej wojny, tracąc miliony istnień, nie tylko w zabitych, ale i w nieurodzonych, w trosce o wzrost zaludnienia, które jest warunkiem rozwoju Państwa, Rada Naukowa dla Ziem Odzyskanych uchwala: zwrócić się do opinii publicznej, do władz ustawodawczych, sądowych i wykonawczych z apelem o obronę prawa do życia płodu nieurodzanego człowieka, o wzmożenie ochrony sierot samotnych matek i wielodzietnych rodzin, a to przez podyktowane stanem wyższej konieczności reformy prawa karnego ustawodawstwa społecznego i ustanowienie kontroli ludowej nad zawodami, mającymi wpływ na urodzenie i byt dziecka”.

Nagłość wniosku przeszła jednomyślnie, potem sam wniosek. Za wnioskiem głosowali: prof. Bujak, Czekanowski, Lehr, Splawiński, Zygmunt Wojciechowski, Czekalski, Rybicki, Zierhoffer, Schromm, Szulc, Stys i inni.

Uzasadniając nagłość swego wniosku powiedział m. in. Grabski: „Jest dziedzina, w której nie tylko nie dorównujemy nowym prądom, ale przodujemy z pewnością, choć to dla Polski dziedzina niesłychanie ważna. Chodzi o populację... Próżno mówić o zrenieściu się i wyrwanu przy Polsce jej Ziemi Odzyskanych, jeżeli na tych ziemiach i w Macierzy nie będą się rodzić Polacy i to w ilości zabezpieczającej nam przężność rozwoju”. Pa- miętałmy, że dopiero przeciętna rodzina z ponad trójkiem dzieci przyczynia się do naturalnego wzrostu zaludnienia... Przecie jest bogactwem, a praca to człowiek: nie tylko ten, który żyje, ale i ten, który ma się urodzić. W stanie wyższej konieczności mamy nie prawo, ale obowiązek szukania środków i prowadzenia akcji zabezpieczającej naród przed klęską. Tak, jak w walce o wolność nie pytałyśmy, czy warto jest ginąć, podobnie w walce o pewność narodowego bytu nie wolno nam wątpić, że warto tworzyć nowe życie. O tym bardziej, że trzeba bronić choćby z narządzeniem życia już istniejących i początek istoty. Przyszłość już istniejąca wśród nas potencjalnie, to nie tylko dzieci urodzone, ale i dzieci poczęte. Lekko licząc na polskiej ziemi zabijają się przez spędzanie płodu około 300.000 dzieci. Od statystyki lepiej wiedzą o tym konfesjonali, a przecież jak niewielka część tych, co obciążają się tym śmiertelnym grzechem chodzi do spowiedzi. Dzieci obójstwo kwitnie w Polsce bezkarne! A przecież to gorsza zbrodnia wobec narodu niż ucieczka żołnierza z posterunku za co prawo karze śmiercią. Te dzieci, zabijane przez tchórzostwo matek przy współudziale fachowych zbrodniarzy, to właśnie najwięk- szy skarb narodu, bo to wystarczająca gwarancja pewnej przyszłości i triumfu w wszystkich potyczkach dzisiejszej Polski w jutrzejszym świecie. Czy dziecko nieurodzone jest człowiekiem? O to może pytać tylko ten, kto nie miał dzieci, albo ich nie lubi, ten, kto nie umie wyobrazić sobie patrzeć na własne dziecko, że mogło by ono nie być, gdyby on, ojciec lub matka, ulegli w swoim czasie zbrodniczej pokusie spędzenia płodu. Bądźmy szczerzy! Kończeniem i urąganiem idei sprawiedliwości jest odmawianie pr w ludzkich człowiekowi, który już się poczęło, a jeszcze jest tak tragicznie bezbronne, bo nie ma formalnego paszportu. Cynizmem jest ograniczanie praw człowieka do chwili, gdy wyda pierwszy krzyk na świat. Kodeks sowiecki karze zbrodnie spędzenia płodu karą śmierci. Teologia moralna piętnuje dzieciobójstwo ostrzej niż zabójstwo dorosłego... A nasz kodeks karny, pretendujący do nowoczesności, paragrafami 231 — 234 jak gdyby sankcjonował naszą plagę, zostawiając wygodne furki tchórzom i zbrodniarzom oraz traktując zbrodnie spędzania płodu nieomal pobłażliwiej od sabotażu gospodarczego. W polskiej rzeczywistości wypiek biały bułeczek jest bardziej niebezpieczny od zabicia dziecka przed jego urodzeniem!”.

Te śmiałe, męskie słowa posuwają sprawę, o którą dotychczas w leży tylko samotnie Majdański, daleko naprzód. Czekaemy na ich echo. Czekaemy na reformę prawa i odpowiednie przepisy. Czekaemy przede wszystkim na ukroczenie haniebnej propagandy za ograniczeniem potomstwa rozwijanej przez niejakiego Ludwika Szczepańskiego z Krakowa!

„NAJEZDZICY” TŁUMACZENIE
JEDNA z księgarń kłeb firm belgijskich ma, zmar przy tapę w najbliższym czasie do pracy nad przekładem powieści J. Dobraczyńskiego „Najeźdźcy”. Powieść „W rozwalonym domu” będzie tłumaczona na czeski.

najcharakterystyczniejszych zwyczajów pospółgólnych ludów. Ładne ilustracje Janiny Rozen dopełniają całość. Warta polecenia dla dzieci w wieku szkolnym.

Niezależnie od Gustowskiego także i „Książka” wydała bajki Andersena znacznie tańsze, ale bez ilustracji. Autor przekładu nieznan. Niestety, oba wydawnictwa umieściły w zbiorach prawie że te same bajki — a szkoda, bo z 6-ciu tomów wspomnianego wyżej całkowitego zbioru bajek Andersena można było wybrać coś więcej, niż „Krolewna na ziarnku grochu”, „Calineczka”, „O cynowym żołnierzu”. Stanowczo prosimy o całość bajek Andersena! Oprócz tego „Książka” wydała „Baśnie z całego świata” w opracowaniu W. Markowskiej i Anny Milkowej. Dobór ciekawy. Bajki podobają się dzieciom przez swoją egzotykę. Dalsze pozycje „Książki” to: „Jaskółczyn” Ransome'a (przed wojną wydane było pod innym tytułem), powieść dla starszych dzieci o przygodach „dziecinnej” załogi statku „Jaskółka”, a następnie dwie z popularnych książek o Doktorze Dolittle Loftinga, a mianowicie „Doktor Dolittle i jego zwierzęta” oraz „Podróże Doktora Dolittle”.

Firma S. Kamińskiego w Krakowie wydała „Przygody Piotrusia Pana” Baringo (w przekładzie Rogoszówny). Książka, niestety, odbiega daleko szatą graficzną od przedwojennego „Piotrusia”, wydane przez Mortkowicza z autentycznymi ilustracjami angielskimi. Tym niemniej wydane jest starannie w ładnym przekładzie (był inny gorszy z wyd. Przeworskiego). Książki, zaznaczamy tu, firma nie przysłała nam do recenzji o mawiamy ją więc raczej ze względu na

jej wartość. Mówiąc o cennej literaturze angielskiej dla dzieci warto wspomnieć o przesłanicznym „O czym szumią wierzby” Grahame'a, wydanej przez „Książkę”. Rzecz dawniejsza, wydana w polskim przekładzie dopiero przed samą wojną, odznacza się poetyckim pięknem i nieomal dickensowskim humorem — nie zawsze zresztą docenianym przez dzieci (zwłaszcza ze względu na trudny nieco przekład) natomiast czarującym dorosłych. Do tej samej serii tłumaczeń z angielskiego należy popularny już „Byk Fernando” Munro Lea'a (wyd. J. Kubickiego) „pacyfistyczna” historia byka, który nie chciał walczyć na arenie.

„Czytelnik” wydał książeczkę Arkadego Gajdara „Timur i jego dużyna” w przekładzie H. Jarmolińskiej. Książeczka ciekawa, którą z chęcią przeczyta każdy chłopiec czy dziewczynka. Pomimo pewnej obcości pojęć i sytuacji (dwie siostry 13 i 18-letnia prowadzą zupełnie samodzielną życie dorosłych) czyta się ją z zajęciem. Przekład gładki i staranny.

O pożytecznych wydawnictwach E. Kuthana w Warszawie pisaliśmy osobno w numerze poprzednim

Mik.

K. I. GAŁCZYŃSKI

WIERSZE

Wyd. Oficyny Księgarskiej

Tyzdzień

kulturalny

LITERACKA DOLA

SZEROKIM echem odbiła się w kołach literatów warszawskich sprawa p. Janiny Broniewskiej. Autorka książki „Szlakiem pierwszej Armii“ została przez urząd skarbowy obłożona kolosalnym podatkiem dochodowym, wymierzonym na podstawie uzyskanych przez nią honorariów od wydanych książek.

Nie wiemy, ile ostatecznie zdołała uzyskać z honorariów p. Broniewska. Wydaje nam się jednak, że nie by otrzymać, nie wyrówna to strat, jakie poniosła w ciągu siedmiu lat wojny i tułaczki. Urząd skarbowy, wymierzając podatek dochodowy pisarzowi, winien był pamiętać, że dochód uzyskany przez niego jest owocem pracy siedmiu lat wojny, w czasie której pisarz stracił wszystko, co posiadał — dom, księgozbiór, zdrowie — to wszystko, bez czego podjęcie nowej pracy literackiej jest niemożliwe. Dochód więc uzyskany z honorariów musi starczyć nie tylko na rok bieżący, ale jest dochodem, z którego pisarz będzie musiał żyć tak długo, poki nie wytworzą się warunki umożliwiające mu nowy zryw twórczy i który stanowi jego jedyną zabezpieczenie na dni choroby czy starości.

Wiemy, że władze państwowe rozumieją te sprawy. 28 listopada ub. r. Pan Premier, udzielając posłuchania Zarządowi Chrześcijańskiej Pomocy Pisarzom, zapewnił, że dba i dbać będzie o los pisarzy i upoważnia do odwoływania się do niego w wypadku, gdy pisarz jest pokrzywdzony. Prezes Związku Zawodowego Czachowski i Dyrektor Departamentu Literatury Furmanik otrzymali, podczas swej wizyty w Ministerstwie Skarbu, oświadczenie, że Skarbowi Państwa nie zależy na dochodzie od tych stu czy dwustu piszących literatów polskich, to też złożony przez Ministerstwo Kultury projekt całkowitego zawieszenia podatku dochodowego od honorariów literackich w ciągu 3 lat uzyska prawdopodobnie zgodę Ministerstwa Skarbu. Podobnie zapewnienie otrzymał prezes oddz. łódzkiego Jan Brzechwa. Tymczasem... tymczasem p. J. Broniewska została obłożona podatkiem sięgającym setek tysięcy (!). Nie jest to zresztą wypadek pojedynczy. W małym przyswoity sposób był „nagabywany“ w sprawie podatkowej W. Żukrowski. Jakis fantastyczny wymiar otrzymał W. Szewczyk...

Sprawa jest poważna, bardzo poważna. Mimo rosnącej liczby wydawców książkowych pisarze w większości są wciąż w położeniu bardzo trudnym. Żąda się od nich pisanie o dzisiejszej rzeczywistości — tymczasem pisarz, który nie posiada własnego mieszkania, własnego stołu, najniezbędniejszej własnej biblioteki — pozbawiony nadto przydziałów żywnościowych i odzieżowych UNRY, pozbawiony ulg kolejowych, ulg na radioabonament, ulg do kin i teatrów i t. p. — nie jest poważnie wogóle zdolny do pisania. Ma rację Natan — literatura nie jest u nas popularna. Kogóż obchodzi sprawa, że Leopold Staff, Artur Górski, Zygmunta Wasilewski nie mają z czego żyć? Należy mieć rację skarbowe obchodzi przede wszystkim podatek dochodowy od zarobków pisarza. Zarobków? Czy właściwie nie ma racji Brzechwa, że pisarz, sprzedając swój utwór, sprzedaje swoją własność — więc to nie tranzakcja handlowo-zarobkowa, ale po prostu wyprzedawanie się z rzeczy najcenniejszych!?

Jedno z dwóch: albo zmienia się stosunek do pisarza, albo próżno marzyć o odzyskaniu literatury polskiej. Słusznie pisze Markowski w „Polsce Zachodniej“, że wciąż są dużo wśród nowości książkowych jest tematów wojennych. Ale przecież są to książki już napisane. Nowe będą napisane tylko wtedy, jeżeli pisarz będzie mógł ze swego pisanja żyć, i będzie mógł stworzyć sobie odpowiednie warunki pisania egzystencję na dwa — trzy lata naprzód. Tylko wtedy. Dzieł nie pisze się jak biurowo „kawalki“ z dnia na dzień! Dzieło musi dojrzeć, pisarz musi „ochłonąć“ po trudnościach siedmioletniej poniewierki. Warsztat pisarza, to nie bar, który wiadomo, że codziennie będzie przynosił dochód. Czyż losem pisarza w Polsce musi być zawsze los tych najstarszych, których wymieniliśmy: Staffa, Górskiego, Wasilewskiego — niedostatek i zapomnienie? I czyż pisarz w Polsce ma żyć zawsze tylko chwilą bieżącą, bez możności zapewnienia sobie swą pracą — spokojnej starości?

PIĄTA EWANGELIA

UKAZAŁ się pierwszy, powojenny tom poezji Wojciecha Baka „Piąta Ewangelia“. Zanim tom omówimy szczegółowo, zwracamy uwagę na pełną wyrazu i tragicznego napięcia, a zarazem głęboką w wierze poezję jednego z najlepszych naszych poetów. Katolikiem autora „Mezzo Bega“ i „Warg bezwstydnich“ nabiera siły i wyrazu w rozpaczliwym wołaniu o „waską, mądrą Bramę“, której strzeże „ojciec Adam“.

VIII.

DZIAŁALNOŚĆ żandarmerii okupacyjnej, złożonej głównie z Niemców miejscowych, jako najlepiej znających środowisko i język polski, szła u nas w dwóch kierunkach: wyławiania przy pomocy obław ulicznych, zwanych łapankami, jak największej liczby ludzi płci obojga na roboty w Rzeszy, oraz tępienia na wszelki sposób nielegalnego handlu, celem zdania ludzkości całkowicie na łaskę systemu kartkowego, czyli właściwie wygłodzenia jej. Na kartki bowiem początkowo nie dawano, prawie nic, później zaś tak mało, że w żaden sposób przy tych ilościach pożywienia niepodobna było utrzymać się przy życiu. Oba te rodzaje działalności propaganda usiłowała nieudolnie uzasadnić istnieniem rzekomego bezrobocia oraz koniecznością obniżenia cen. Oczywiście wszyscy się orientowali, że wysokie ceny zostały wywołane umyślnie przez złośliwą inflację ze strony władz okupacyjnych.

W łapankach uczestniczyli początkowo wyłącznie Niemcy. Do pewnego czasu używano do nich również folksdojców. Policji granatowej nie powoływano do tego celu przez długi czas.

Przez pierwsze dwa lata Franciszek Kłos zachowywał się całkiem poprawnie. Wódki w dalszym ciągu nie pijał prawie zupełnie. Przeszkadzało mu to nawet w zdobyciu przyjaciół wśród kolegów i gdzieindziej, najłatwiej bowiem zawiązuje się przyjaźń przy kieliszku. Ale Kłos nigdy właściwie nie miał przyjaciół. Przeszkadzała mu w tym jego oschłość, niezmierna i nieprzejednana służbiowość oraz sobokostwo. Ponieważ często lubił powtarzać: „W służbie to ja jestem pies“ — utarło się o nim powiedzenie: „W służbie pies, a poza służbą świnia“. W tym wypadku szkodziła mu również wśród kolegów jego pewnego rodzaju służalczość w stosunku do Niemców.

Policja granatowa otrzymała od władz okupacyjnych rozkaz salutowania każdego umiędorowanego Niemca, choćby to był zwykły żołnierz, czy strażnik kolejowy. Wszyscy policjanci wykonywali to polecenie niechętnie, słusznie uważając je za usiłowanie upokorzenia i poniżenia ich godności narodowej. Jeden Kłos stosował się do niego z całą gorliwością.

Poza tym wkrótce zasmakował w chwytności nielegalnych handlarzy i w odbieraniu im produktów, zwłaszcza od kąki przyznał, że jego niemieccy zwierzchnicy niekoniecznie żądają od niego skrupulatności w oddawaniu skonfiskowanych towarów i że całkiem przez palce patrzy na branie przy tej sposobności kłódek. Po pewnym czasie obudziła się w nim żądza wzbogacenia się.

— Wszyscy dziś robią forsę, a ja jeden mam klepać biedę?

Dorobił też sobie do tej swojej działalności swoistego rodzaju teorię.

— Jak się wytępi szmuglerów i kombinatorów, to wszystkim będzie lepiej, a zwłaszcza biednym ludziom. Ceny wtedy spadną, na kartki będą dawali coraz więcej, a także Niemcy, kiedy zobaczą, że my, Polacy, umiemy się rządzić i stosować do zarządzeń inaczej zaczną nas traktować.

Do tych poglądów z łatwością nakłonił swoją matkę i żonę. Tylko ojciec pozostał nieprzejednany. Ale Kłos nie zważał już nań zupełnie. Wystarczało mu, że jego postępowanie zjednywało mu coraz większą przychylność zwierzchników.

Zwłaszcza łaskawie ustosunkował się do niego komendant posterunku, Alojzy Schwick. Pochodził on z Prus Wschodnich i mówił dobrze po polsku, oczywiście gwarą mazurską. Jego przodkowie zwali się po prostu Cwiekami. Olbrzymiego wzrostu, niezmiernie tuszy, z potężnym brzuchem i z szeroką nalaną amarantowej barwy twarzą, tudzież łysiną, niespodziewaną życzliwością zapałał do małego, szczupłego i niecierpliwego Franka. Tym bardziej niespodziewana, że poza tym Schwick Polaków nienawidził i gardził nimi, jak tylko Niemiec potrafi gardzić pokonanymi i bezbronnymi. Zdawał się też rozkoszować swoją własną brutalnością oraz rozwijać w sobie z lubością zwierzęcą wściekłość. Rod tym

Stanisław Rembek

Wyrok na Fran-

względem zwłaszcza stał się postrachem przekupniów. Bili ich własnoręcznie po twarzach, wybijając zęby i oczy. Powalonym miażdżył twarze obcasami. Ulubioną jego rozrywką było chwytnie za gardło dwóch przekupek naraz i tłuczenie ich nawzajem czaszkami, jak wielkanocnymi jajami. Aresztowanych wrzucił do aresztu potężnymi kopniakami. Chadzał zawsze z potężnym psem wilczurem, który sekundował swemu panu w znęcaniu się nad pogardzoną polską rasą. Kiedy sobie podpił, co mu się zresztą zdarzało codziennie, tymże psem szczuł gości restauracyjnych, kelnerów, a nawet właścicieli restauracji. Najślawniejszym jego wyczynem było wyrzucenie po pijanemu podczas pełnego biegu pociągu wszystkich podróżujących w przedziale Polaków i Polek.

Do podwładnych odnosił się również surowo. Zwłaszcza do żandarmów, którzy jak już wspominałem, rekrutowali się przeważnie z synów kolonistów niemieckich z okolic Łodzi, Tomaszowa i Piotrkowa. Prześladował i wyszydzał ich skażoną i nieudolną niemiecczą rycząc przy każdej sposobności o „świńskim języku“ i o „świniach koniunkturalnych“.

Wyróżniał jednego Kłosa. Być może, upodobał go sobie ze względu na mizerność i wybitną nierasowość jego pastaci. Ludzie wysocy i silni często odczuwają potrzebę zaopiekowania się jakimś osobnikiem słabym i upośledzonym przez naturę. Potęguje to ich radosną świadomość własnej mocy. Fakt ten, jakkolwiek pomyślny dla Kłosa, nie poprawiał jednak bynajmniej jego położenia wśród kolegów. Aż wreszcie i on znalazł przyjaciela, a przynajmniej wiernego towarzysza.

Był to świeżo przydzielony żandarm, Bolesław Kranc, pomorzanie z Torunia, mówiący zresztą po polsku, jak rodzimym językiem. Bo też wszystko wskazywało na to, że pochodził z odpolszczonej świeżo rodziny niemieckiej. Pod względem wzrostu i szczupłości postaci ustępował on nawet Kłosowi. Żeby ukryć te braki, dźwigał on zawsze na głowie ogromny baniasty hełm z niewielkim znaczkiem swastyki na boku oraz niezmiernie długie i obszerne żółte buty z cholewami. Mundur i spodnie miał również zbyt obszerne, jakby na wyrost. Oprócz tego obarcony był zawsze straszliwych rozmiarów rewolwerem, zwisającym mu u pasa, oraz pistoletem maszynowym, zwanym ogólnie rozpyłaczem. Z tej kupy błękitno-zielonego sukna, żelaza, rzemienia i uzbrojenia wyzierała chuda, trójkątna twarzyczka z zapadłymi policzkami, naznaczonymi w dodatku skośnymi bruzdami, z półotwartymi ustami, w których błyszczał jeden złoty ząb.

Upodobał on sobie Kłosa prawdopodobnie również z powodu nierasowości jego wyglądu. Sam też przecie ze względu na wzrost, budowę ciała, a zwłaszcza czaszki, odbiegał znacznie od wzoru, jaki dla narodu niemieckiego wytworzyli uczeni antropologowie niemieccy.

— To nie — szeptał raz poufnie Kłosowi po paru kieliszkach i przy kuflu piwa. — Na ciele partii też nie wszyscy są nordykami. Jeszcze Goering, Ribbentrop, ale tak! Goebels, czy nawet — tu obejrzał się ostrożnie — sam Hitler...

Stał się on dla Kłosa prawdziwym mistrzem życia.

— Nigdy nie martw się, co o tobie ludzie powiedzą. To jest obojętne. Jeśli się będą ciebie bali i jeśli będą czuli u ciebie forsę — zawsze znajdziesz przyjaciół. Myślisz pewnie, że Niemcy tę wojnę przegramy, bo tak stoj w waszych głupich przepowiedniach. Nie bój się, mnie możesz szczerze powiedzieć. I ja zresztą wątpię czy wygramy. Hitler nie chce się liczyć z nikim, w końcu więc musi wystąpić przeciw niemu i Rosja i Ameryka. Ale zawsze ta awantura potrwa z piętnaście lat. Przez ten czas można użyć po dziurki w nosie. A potem — machnął ręką — kto ci zabroni zostać z powrotem

poliskim patriotą? A ja myślisz, przez wojnę nie czułem się Polakiem? Ho! ho! możesz jeszcze z dziesięć razy zmienić skórę. Polityka to loteria, albo nawet gra w karty. Kto chce wygrać, ten nie może oglądać się na uczciwość. Boisz się Polaków? To jest naród miękkki, jak krowie łajno, i o bardzo krótkiej pamięci. Chodzi tylko o to, żeby zdążyć wymordować Żydów, bo to są dranie — spryciarze, prawie tak jak Niemcy.

On też nauczył Kłosa pić wódkę. — Gorzałka daje człowiekowi odwagę. Po pijanemu możesz robić takie świństwa, jakichbyś po trzeźwemu nigdy nie dokonał. A tu w Polsce Niemcy potrzebują drani, wściekłych psów. Pij bracie, bo ci się to zawsze opłaci!

Kłos początkowo wszystkie te nauki przyjmował nieufnie i opornie. Aż wreszcie przypadek zdecydował o jego ostatecznym przejściu do obozu, którego tak gorliwym i świadomym przedstawicielem był Bolesław Kranc.

IX.

Jak już wspominałem „granatowa“ policja przez długi czas trzymała się z daleka od łapanek. W trzecim roku okupacji zmieniło się to jednak i to właśnie w czasie, gdy działalność tajnych organizacji na skutek wybuchu wojny z Rosją sowiecką przybrała na sile. W podziemnej prasie coraz częściej powtarzały się ostrzeżenia z wymienianiem nazwisk poliejantów, których działalność zaczęła przybierać charakter otwartej zdrady. Aż wreszcie zabrano się do utrudniania Niemcom wywożenia młodzieży do Rzeszy przez wydawanie wyroków śmierci na zbyt zażartych kierownikach okupacyjnych urzędów pracy, jak również na zbyt gorliwie im się występujących oficerów i innych funkcjonariuszy policyjnych. Wybuchło to jakoś nagle. Pewnego dnia Kłos przyszedłszy na służbę do, wiedział się o zabiciu komendanta policji w Warszawie oraz kilku funkcjonariuszy w kraju, w tym jednego sołtysa z pobliskiej wsi. W dodatku pokazano mu gazetkę, gdzie był wymieniony z imienia i nazwiska, jako wyjątkowo nikczemny służalec niemiecki.

Dotychczas wiedział o istnieniu organizacji tajnych, czytywał prasę podziemną, ale uważał to wszystko za nieszkodliwą zabawę, którą tylko Niemcy umyślnie rodmuchują dla upokorowania tym większego ucisku i nadużyć — teraz jednak przejęła go groza. Więc ci ludzie rzeczywiście stanowią jakąś siłę i to tak zorganizowaną, że ich uwagi nie uszła nawet taka Brodnia, a w niej on, Franciszek Kłos?... Struło go to tak, że przez cały dzień do nikogo się słowa nie odezwał.

Zwróciło to wreszcie uwagę Kranca.

Z wydawnictw

Tradycyjnym zwyczajem, przed Gwiazdką ukazało się dużo wydawnictw dla dzieci, część zupełnie nowych, a część wznowień. Między innymi firma poznańska Z. Gustowski wypuściła na rynek szereg małych książeczek, przeznaczonych dla dzieci młodszych. Książeczki: „Skrzydlaty świat“, „Przygody Janka Sobiepanka“, „Przygoda roztrzępanej Ewki“, „Bunt w podwórzu“, pisane wierszem bardzo prosto, a jednocześnie estetycznie wydane, opatrzone miłymi ilustracjami, i co najważniejsze w przystępnej cenie, służyć mogą jako tania a zarazem zajmująca lektura dla młodszych dzieci. Większe zbiorki opowiadań i bajek jak: „Wielkie przygody małych zwierzątek“ (zupełnie dobra książeczka) oraz „Ślicznotka i czarowany niedźwiedź“ (zdecydowanie słabsze), przeznaczone są dla dzieci trochę starszych i na koniec bardzo pięknie wydany wybór bajek Andersena z estetycznymi rysunkami w przekładzie Cz. Kędzierskiego. Bajki Andersena sprawiają zawsze dużo radości zarówno małym jak i dużym czytelnikom. Szkoda, że nie wydano na nowo całokształt zbioru bajek Andersena, które wyszło przed wojną w wydaniu Mortkowicza. W książce trafiają się jednak tu i tam chyba przez niedopaźnienie korekta, tóra takie błędy językowe, jak: ta piega, ta mirta itp.

Państwowe Zakł. Wydawnictw Szkolnych w Warszawie wydały książkę Janiny Przeworskiej p. t. „Kolorowe dzieci“, przeznaczoną jako lekturę pomocniczą z zakresu geografii. Książeczka ładna i ciekawa daje bardzo plastyczny obraz

W świecie...

DLACZEGO?

Jak grom z jasnego nieba uderzyła wiadomość, iż Byrnes ustąpił, a jego miejsce na stole Sekretarza Stanu rządu USA zajął gen. Marshall, odwołany „na obłok” z Chin, gdzie bawił w misjach dyplomatycznych ostatni rok. Gen. Marshall, szef sztabu armii USA w czasie wojny, intymny współpracownik Roosevelta, którego ten ostatni wykorzystał w Qubeck i Teherazę jako rzeczoznawcę militarnego, udawadniającego Churchillowi niemożność przeprowadzenia inwazji na Bałkany — jest pierwszym generałem na tak wysokim dyplomatycznym stanowisku w USA. Niespodziewana nominacja wywołała zupełnie sprzeczne uczucia i komentarze. W chwili, gdy piszemy te słowa, a prawdopodobnie i w wiele tygodni jeszcze później, trudno się będzie zorientować, co za nowe koncepcje polityki międzynarodowej wstąpiły wraz z Marshalllem w progi Sekretariatu Stanu.

Pierwsze komentarze szły po linii uważania tej ważkiej zmiany za pewien manewr wewnętrzno-polityczny. Wobec tego, że demokraci są obecnie w mniejszości w Kongresie i spodziewają się przegranej w wyborach na prezydenta — chcą w tych wyborach wystawić kandydaturę możliwie przyjemną dla ogółu, nie należącą do partii, popularną, uważając może, iż lepszy bezpartyjny Marshall, wystawiony z listy demokratycznej, niż kandydat i zwycięzca z listy republikańskiej. Celem umożliwienia kandydowania Marshallowi wprowadza się go pierw na wysoki urząd państwowy, cywilny.

Ponieważ jednak niemal równocześnie z dymisją Byrnesa nastąpiło szereg dalszych zmian w personalnej obsadzie międzynarodowych reprezentantów USA — ustąpił sen. Baruch, reprezentant USA w Komisji Atomowej Rady Bezpieczeństwa OZN, znany ze swego nieprzejednanego stanowiska wobec projektów ZSRR, ustąpił Winaut ze stanowiska delegata w ONZ, ustąpił gen. Nharney, dotychczasowy reprezentant USA w Radzie Kontroli Niemiec, ustąpił doradca Byrnesa: Connally, Vandenberg, Cohen oraz podsekretarz stanu Acheson — wydaje się, iż nie o rozgrywkę polityczną między republikanami a demokratami rzecz się toczy.

I nie tylko o hacznieszkie zwrócenie uwagi na zagadnienia Dalekiego Wschodu, jak domyślają się jeszcze inni.

Już od dłuższego czasu dawało się wycezuwać z prasy zagranicznej i radia, że między mocarstwami anglosaskimi, specjalnie Stanami Zjednoczonymi z jednej strony a Rosją z drugiej, realizuje się jakieś szerokie porozumienie polityczne, wyrównanie frontu, które obejmie ostateczne uzgodnienie wszelkich punktów spornych czy wątpliwych, w skali ogólnostanowiskowej. Porozumienie to w Stanach Zjednoczonych ma szerokie rzesze zwolenników, a do jego przeciwników należą właściwie tylko koła wojskowe (tutaj wypada uczynić uwagę, iż gen. Marshall od roku już przeszedł do służby cywilnej, wyszedł praktycznie z wojska). Pierwszym zwiastunem takiej umowy politycznej może być niewątpliwie zakończenie konferencji grudniowych, zakończenie prac nad traktatami b. satelitów. Wypadki w Iranie, w stosunku do których rząd ZSRR, jak dotychczas, zachowuje neutralność — dowodzą też części podobnego. Znamienna jest moskiewska wizyta marsz. Montgomeryego i zapowiedziana londyńska rewizyta marsz. Wasilewskiego.

Pod tym kątem należy chyba oceniać zmiany dyplomatyczne USA. Zdymisjonowanie zespołu polityków zapędziło się zbyt daleko w pewnym kierunku. Odwrót miałby utrudniony. Przyszli nowi ludzie — do nowej gry.

Z Niemiec dochodzą wieści, iż dymisję Byrnesa przyjęto kwaśno. Może miał rację Kozmiewski, gdy stuttgartzką mowę Byrnesa zatytułował w „Przekroju” — „To tylko słowa”.

Wydaje się, iż stojmy u progu ciekawych wydarzeń na świecie. Wydarzeń, które i na naszą polską rzeczywistość mogą mieć wpływ większy, niż strzelanie do działaczy politycznych czy wyborczych.

całość. Wszelkie inne podejście niesie zagiew nowych wojen i katastrof.

* * *

Podobnymi torami, lecz może jeszcze ostrzejszymi, potoczył się rozwój obecnej, nowoczesnej sztuki wojennej. Człowiek stworzył przemysłowe maszyny wojenne, by z kolei stać się ich niewolnikiem i ofiarą, i to nawet nie tyle w czasie wojny, gdy zabijają, lecz głównie w czasie pokoju, gdy wymagają kosztownej produkcji, gdy budzą podejrzliwość i odejmują spokój.

Najistotniejszą bronią wojny współczesnej są samoloty i czołgi. Jak wszystkie maszyny i one mają tę kosztowną właściwość, iż intensywny postęp techniki coraz to doskonalsze ich modele przedstawia do publicznej używalności. Granicy inwencji inżynierów w tej dziedzinie dostrzec, ani przewidzieć nie sposób. Tym więcej, iż każde z państw, dzięki swej bujnej imaginacji o własnej sile i własnych obowiązkach wobec świata tego i tamtego — uważa się za specjalnie przedysponowane i namaszczone do przewyższenia ewentualnych przeciwników za każdą cenę. Niekiedy nawet tak wysoką, że automatycznie skazującą cały naród na obniżanie w czasie pokoju swej stopy życiowej, byle tylko wygrać wojnę. Klasyfikacyjnym przykładem tego były Niemcy, tak jak klasycznym przykładem tezy odwrotnej była Dania — jedyny rozsądny kraj, który doszedłszy do wniosku (koło roku 1935, że przy największym nawet wysiłku nie potrafi dorównać swemu jednemu ewentualnemu wrogowi Niemcom — zlikwidował wogóle swoją armię, słusznie uważając, że na innej, niż militarna, drodze musi chronić swój spokój i dobrobyt. Nie to postępowanie oczywiście uchroniło Danię przed wojennym zniszczeniem, ale wygodna koniunktura polityczno-geograficzna. Nie mniej przykład tego małego kraju służy za krzepiący dowód, iż jeszcze gdzieś pod słońcem są ludzie myślący w kategoriach rozsądku i arytmetyki. Po tej „duńskiej” dygresji, która niestety nie wpływa na bieg dziejów naszych, wróćmy do właściwego tematu.

Zarówno czołgi, jak i samoloty, a raczej typy czołgów i samolotów, po paru miesiącach działań wojennych stawały się zwykle już przestarzałe. Jeśli ich nie doskonano — ustępowały palmę pierwszeństwa maszynom przeciwnika. Produkcję wojenną trzeba było przedstawiać wciąż na inne, ulepszone modele. Rzecz prosta — na tego rodzaju gospodarkę pozwolić sobie mogły tylko kraje najzamożniejsze, które ponadto nie były zmuszone do posługiwania się bardzo kosztownymi surowcami zastępczymi. To że, lasne prawo wojny maszynowej boleśnie odczuły na swej skórze Niemcy i Japonia.

W czasie pokoju proces „starzenia się maszyn” jest wprawdzie znacznie powolniejszy, ale jednak zawsze dostatecznie prędko, by uniemożliwić produkcję „na zapas”. „za czasu”, po to tylko, by gotowymi maszynami zabezpieczyć w ogromnych ilościach garaże, czy hangary; niech czekają wojny! Po roku czy dwóch stają się one — wobec tych przeciwnika — prosto szmelcem... I trzeba przemontowywać silniki właśnie wtedy, gdy wojna za pasem... — Jest to oczywiście słuszne nie tylko w odniesieniu do czołgów, czy samolotów, ale do każdego gatunku nowoczesnej motorowej, mechanicznej, chemicznej, czy wkrótce zapewne atomowej broni.

Wobec tego przygotować większą ilość nowoczesnego uzbrojenia przed wojną może tylko ten, kto zna dokładnie termin jej wybuchu. A więc agresor. Z tego punktu rozumowania można zaryzykować paradoksalny postulat polityki agresy-

sywnej; przy czym jednak należy lojalnie stwierdzić, iż na taką politykę stać jedynie nie wiele państw, tym więcej, iż nowoczesne wojny niszczą zwycięzcę nie wiele mniej, niż zwyciężonego. Państwa nie znające terminu wybuchu wojny lub też nie mające najmniejszego zamiaru wojny prowadzić — nie są w stanie produkować en masse czołgów, samolotów i t. p., by zamieścić już o ewentualnych broniach rakietowo-atomowych. Nie robiła tego przed wojną ani Wielka Brytania, ani Stany Zjednoczone, ani Rosja Sowiecka. Dwie pierwsze potęgi wogóle nie wiele fabrykowały sprzętu wojennego. Rosja natomiast wyprodukowała dużą ilość samolotów (a pewnie tak samo było i z innymi rodzajami broni), które w chwili wybuchu wojny z Niemcami były przestarzałe, zdolne tylko w bardzo słabym zakresie stawiać czoła niemieckiej Luftwaffe. Ale równocześnie rzadkie instytuty doświadczalne cały okres pokoju stale produkowały coraz doskonalsze prototypy, by ich masową produkcję zastosować dopiero w ostatnim momencie, być może już nawet po wybuchu wojny.

Broń nowoczesną bowiem, by naprawdę była nowoczesną, należy wyprodukować w chwili wybuchu wojny. W tym celu należy mieć odpowiednio wielki i odpowiednio zabezpieczony przemysł. Mając jednak przemysł najzupełniej nawet przygotowany do podjęcia takiego zadania — potrzeba jeszcze nie małej ilości czasu, by owoce produkcji mogły zaważyć na polu walki. Wielka Brytania dopiero w trzecim roku drugiej wojny światowej zaczęła uzyskiwać przewagę techniczną nad nieprzyjacielem, który do wojny przygotowywał się od roku 1933. Rosja przewagę tę uzyskała po blisko półtora roku wojny. Zagadnienie więc sprowadza się do utrzymania przeciwnika zdala od centrów przemysłu wojennego przez dostatecznie długi okres czasu, z tym jednak, iż wobec nierównego startu technicznego, w jakim znajdują się napaści wobec agresora, ten pierwszy dysponuje z miejsca słabszą i mniej doskonałą bronią. Miniona wojna nauczyła nas, iż fortyfikacje nie są w stanie sprostać temu zadaniu — są to pieniądze wyrzucone w błoto. Również granice naturalne, jak góry i rzeki, przestały odgrywać rolę istotnie poważnych przeszkód. Anglosasi dowiedli, że cieśniny i morza są do pokonania, a wojna z Japonią i przestrzenie oceaniczne postawiła pod znakiem zapytania. Stosunkowo najlepiej broniły się w tej wojnie miasta; okazały się one zdolne do stawiania nieraz długiego oporu. Mimo to jednak w przyszłości miasta nie będą raczej w stanie sprostać zadaniu zatrzymania armii napaści; raz dlatego, że mogą być otaczane i powoli zdobywane, co nie przeszkadza posuwaniu się wojsk poza nie; dwa — mam głębokie przekonanie, iż w dobie coraz to straszliwszego udoskonalania bombardowania z powietrza, przeciw któremu, jak dotąd, nie wynaleziono żadnej skutecznej broni, w przyszłości mało będzie burmistrzów i mało rządów, które zdecydowały się na podjęcie walki w mieście, wydając je tym samym na kompletną ruinę. Gospodarcze i kulturalne skutki bombardowań wojny ostatniej odczuwać będzie. my tak bardzo długo, iż nauka napewno nie pójdzie w las i każda decyzja walk w mieście poprzedzać będziemy dokładnym, panicznym nawet, rachunkiem zysków i strat.

W takiej sytuacji napaściemu pozostaje tylko pójście w ślady Rosji. Przykład Rosji z ostatniej wojny dowodzi wyraźnie jednego: czas niezbędny do wyprodukowania broni nowoczesniejszej

niż broń agresora, można uzyskać tylko oddając nieprzyjacielowi dużą część swego terytorium, pod tym jednakże warunkiem, że i ona będzie mocno i zaciekle broniona. Rosja, by zyskać ten drogocenny czas — musiała oddać napaści prawie połowę swego europejskiego obszaru. Gdy jednak teraz wystarczyło oddanie terenów od Bugu do Wołgi i Kaukazu, to nie wiadomo, czy w następnej wojnie napaściemu nie musiałby oddać agresorowi terenów równych co najmniej obszarowi zawartemu między Bugiem a Uralem. A może i to byłoby zbyt mało? Poza Rosją może tylko Chiny, Indie i Stany Zjednoczone mogłyby sobie pod tym względem pozwolić na luksus prowadzenia wojny!!

A tymczasem nie czołgi i nie samoloty wydają się być zasadniczymi broniąmi przyszłej wojny. Zakończenie wojny ostatejnie (analogicznie, jak zakończenie poprzedniej) ujawniło nowe gatunki broni, będące w chwili obecnej w zalążku, a już groźne: — bomby atomowe i pociski rakietowe. Udoskonalenie bombardowania systemem rakietowym stwarza możliwość ostrzeliwania na przykład Kairu z Buenos Aires, czy Nowego Jorku z Tokio.

Przed paru miesiącami prasa doniosła, że niemiecki system rakietowego bombardowania (V2) wykorzystany będzie przy przesyłaniu poczty z Londynu do Nowego Jorku przez Atlantyk. Bez trudu możemy sobie wyobrazić, że w jakimś momencie naszej przyszłej historii napełni rakietowy wróci do swego pierwotnego, nadanego mu przez Niemcy przeznaczenia, i miast torby z listami w panczeru pocisku znajdzie się bomba atomowa, u-stokrotniona wobec swej dzisiejszej siły, co nam już obiecują z oblesnym uśmiechem uczeni wszystkich pięciu kontynentów. Militarne wykorzystanie wszelkich możliwości, jakie stwarza opanowanie energii atomowej — sprowadza wojnę w istocie do absurdu. Lecz pesymiści mają smutną rację, gdy twierdzą, że niestety ludzkość już zbyt często pokazała i udowodniła, że przed absurdem nie zwykła się cofać! Odległości wyznaczone w ubiegłej wojnie czołgami i samolotami — łatwo mogą się stać zupełnie nieaktualne. A wtedy...?

Czyż w takim razie te „granice wojny” nie określają, nie narzucają nam wbrew, czy po naszej woli nieodzownego warunku pokoju na globie — warunku, którym jest „jeden świat” — „One world”, jak nazwał to nowoczesne zjawisko W. Wilkie.

Na to ważne pytanie nie wolno pod grozą samounieczestwienia, odpowiadać formułami z czasów Wersalu lub choćby nawet z czasów San Francisco! A jednak są tacy, co tak właśnie chcą odpowiadać. Ludzie nieszczęśliwi i ludzie nieszczęśliwi.

* * *

Tak więc czynnik gospodarczy i czynnik wojenny skazały świat na konieczność unifikowania się — i to możliwie prędkiego. Istnieje jednak jeszcze czynnik trzeci — kulturalny. Z nim łączy się ściśle świadomość narodowa. Ulega on najpowszechniejszej ewolucji w kierunku unifikowania się. Różnorodność tego właśnie czynnika wprawdzie utrudnia proces całkowania, ale równocześnie jest warunkiem bogactwa i żywotności intelektualnej, artystycznej, kulturalnej naszego globu. Jeżeli kiedykolwiek nastąpi unifikowanie kulturalne całej ludności ziemi — a nastąpi to prawdopodobnie nieprędko — będzie to równoznaczne z wytworzeniem się jednego jakiegoś gigantycznego, różno-rasowego, nad-narodu. Wolno nam wierzyć, że przed tym nastąpi zjednoczenie się polityczne i gospodarcze narodów, przy zachowaniu pewnej, nawet znacznej, różnorodności kulturalnej. Sądzę, iż tak właśnie wiek, dla jego pokoju i jego różnorodności kulturalnej, potomkowie nazwą prawdziwym „złotym wiekiem” ludzkości.

My o wieku takim możemy jeszcze ciągle tylko marzyć i liczyć, że rozum naszych przywódców doprowadzi na koniec skołataną ludzkość do owego nieuchronnego wprawdzie, lecz tak trudnego do osiągnięcia —

— Jednego świata.

Kazimierz Kozłowski

W związku z zapowiadany ukazaniem się w najbliższych dniach powieści Jana Dobraczyńskiego p. t. „Najeźdźcy” (wyd. Oficyny Księgarskiej w Warszawie), zawiadamiamy naszych Czytelników, że wysyłać Im możemy książkę za nadesłaniem zgłoszenia.

Czytelnikom naszym możemy wysyłać książkę, nie obciążając ich kosztem porta, za zaliczeniem lub po otrzymaniu należności.

Cena powieści, wydanej w 2 tomach, w ładnej okładce, wykonanej przez Jana Knothe, wynosić będzie 950 zł.

REDAKCJA

takim zamiarem nosił — to go nie wykonał. Nie wykonał go artystycznie.

4.

Chciałbym zwrócić uwagę na jeszcze jeden aspekt tej przy wielu brakach ciekawej książki. Jest ona niewątpliwie w większym stopniu dziełem publicysty niż literata. Żadnej postaci z powieści nie „widzimy” żadnej nie „słyszymy”. Za wszystkich mówi autor, od razu komentując ich słowa nutką mniej lub więcej ostrej ironii. Nie widzimy także świata, który otacza bohatera — ulice czy miejscowości określone są w książce wyłącznie nazwami.

Lecz właśnie od powieści publicysty oczekiwaliśmy jeśli nie opisu i nie dramatu, to przynajmniej tezy. Kisielewski poznałmy dopiero po wojnie. Przed wojną przysyłał ze Szwajcarii artykuły wyłącznie dotyczące spraw muzyki. Po wojnie błysnął od razu talentem niezrównanego felietonisty i satyryka, związanego z obozem katolickim. Obecnie doszła do nas jego powieść.

Powieść ma wiele braków, lecz tych, które zapowiadają przyszłość. Natomiast tematycznie budzi sprzeciw. Występując bowiem z jakimś nowym manifestem politywizmu, Kisielewski właściwie jednym zamachem uderza we wszystkie jednoczące ruchy ideologiczne — katolicyzm nie wyłączając. Przy tym nie w wątpliwościach wyraża się jego negatywna postawa. Powieść Kisielewskiego rozgrywa się w atmosferze „ponad złem i dobrem” — w pustce moralnej (trochę jak „Maria wyrusza w świat” Kocwy). Nie chodzi przecież o to, czy bohater powieści postępuje moralnie! Natomiast jest sprawą wielkiej wagi, czy istnieje ponad bohaterem świat zła i dobra. Jeśli ten świat istnieje, wtedy ma znaczenie grzech i wtedy znaleźć można sens w ukazaniu obrazu grzechu. Nie jestem rygorystą. Uważam, że śmieszna jest rzecz ukrywać przed czytelnikiem to, co mu życie dzisiejsze nieomal bez obstrukcji kładzie przed oczy. Ale istnienie zła w świecie nie może być czymś, na co się pisarz obojętnie zgadza. Nie mogą pojąć dla czego Kisielewski, który zdobył się na słowa potępienia dla zabójstwa Bronka, nie może się zdobyć na potępienie bodaj słówkiem „erotycznych” przygód Zygmunta. Z punktu widzenia moralności katolickiej grzech przeciwko piątemu przykazaniu nie jest innym, niż grzech przeciwko szóstemu. Jeden może być większy niż drugi, ale nie zapominajmy, że każdy grzech jest już złem nie skończonym, zaś grzech śmiertelny — zabójczy dla łaski — jest właściwie wyrokiem śmierci dla duszy.

Nie napisałbym tego, pisząc o książce Brezy, ponieważ Breza tych spraw nie rozumie — a raczej nie chce rozumieć. Natomiast od pisarza, który reprezentuje świat sztuki katolickiej, trzeba wymagać, aby chciał zrozumieć sprawę grzechu nawet wówczas, gdy nie jest ona dlań od razu oczywista.

Autor zbyt lekko pozwala kroczyć swojemu bohaterowi utartą ścieżką grzechu cynizmu i łatwizny. Pojmujemy, że jest to wprawdzie pierwsze wcielenie Zygmunta i że „Sprzysiężenie” jest właściwie czymś nieskończonym. Ale i to autora nie usprawiedliwia. Możemy wydać książkę, której braki artystyczne znamy. Nie wolno nam wydawać książki, której postawy moralnej — nie uznajemy.

Nie chciałbym być przez autora, którego bardzo cenię, źle zrozumiany. Recenzja powyższa jest nie tylko dziełem kilku godzin pracy, jest także owocem wielu godzin zasadniczego namysłu. To nie było takie proste zdecydować, czy ma się zaatakować od razu zasadniczo formalnie i ostro pierwszą książkę człowieka o takiej dziś popularności, jak Kisielewski, czy też należy rzecz przemilczeć. Niestety — uważa się u nas przemilczenie za znakomitą broń, mającą osłaniać tyły niefortunnego wystąpienia lub „kłaść” zbyt jaskrawy sukces. Osobiście uważam, że milczenie jest niedozwoloną bronią publicysty. Przemilczenie może polityk, publicysta jest głosem — a gdy milczy, nie spełnia swej roli.

Dlatego też napisałem, co uważałem za słuszne.

Jan Dobraczyński

Wojciech Kętrzyński

Oryginalna polemika

Kampania wrześniowa 1939 roku w Polsce stanowi i stanowić będzie jeszcze przez czas dłuższy przedmiot wielu prac i dociekań historycznych. Poza samą potrzebą obiektywnego, historycznego poznania tego epizodu drugiej wojny światowej korei każdego z nas przekonanie się ile było słuszności w przekleństwach, które wyrwały się z niejednych ust na widok bohaterów a beznadziejnych wysiłków, a ile w swoistym poczuciu dumy i rehabilitacji, gdy porównaliśmy naszą walkę i naszą postawę do późniejszych norweskich i francuskich wypadków. Rozmaite publikacje zagraniczne odświeżyły wreszcie kulisy niezmiernie ciekawych i znaczących rozgrywek politycznych w przededniu wybuchu wojny, które rzucają zupełnie nowe światło na sytuację Polski przed wrześniem i na jej możliwości polityczne.

Na tle powyższych uwag trzeba przyznać, że obszerna i bardzo ciekawa praca płk. Kirchmayera nie wywołała jak dołąd dostatecznie poważnej i rzeczowej dyskusji, na jaką temat i opracowanie najzupełniej zasługuje. Jest to dowodem, że dokumenty historyczne, dotyczące się tego okresu nie dostały się w dostatecznej ilości w ręce kompetentnych historyków, że przeto praca płk. Kirchmayera trafiła na niedostatecznie przygotowanych odbiorców. Niewątpliwie jednak ta poważna, naukowa dyskusja wokół tej pracy wcześniej czy później rozwinie się.

Rozwinięta się natomiast, najzupełniej niespodziewanie i niepotrzebnie dyskusja o charakterze czysto politycznym, z użyciem wszelkiego rodzaju „chwytów” polemicznych. O cóż poszło? Znany publicysta Paweł Jasienica zaatakował pracę Kirchmayera z dwóch stron — stwierdził, iż autor nie docenia zwartość oporu armii polskiej w drugiej fazie kampanii, przyczyniając się tym samym do umacniania goebelsowskiej legendy o „kampanii 17 dni”, oraz zarzuca, iż autor zlekceważył polityczne znaczenie kampanii, która niemalże o rok opóźniła dotarcie niemieckich dywizyj nad kanał La Manche i odsunęła na dalszy plan starcie niemiecko-rosyjskie, umożliwiając tym Związkowi Sowieckiemu lepsze przygotowanie się do wojny.

Obie tezy, rzecz prosta, nadają się do dyskusji. Niezależnie jednak od stanowiska, jakie się w tych sprawach zajmuje, moim zdaniem obie wymagają rzeczowego przedyskutowania, gdyż istnieje w naszej opinii publicznej wiele nieporozumień w obu poruszanych problemach. Cały szereg najróżniejszych przesłanek, tak politycznych jak i psychologicznych, wpłynął na to, że w czasie wojny próbowano w Polsce wszelkimi środkami udowodnić realność „frontu wołyńskiego”, czy „przyczółka załeszczyckiego” w roku 1939. Sama zaś rozgrywka dyplomatyczna między Niemcami, Rosją i Anglią w przededniu wybuchu wojny jest jeszcze do dziś niedostatecznie znana i rozumiana dla bardzo wielu Polaków, w związku z czym wnioski co do roli politycznej

K-K

Proces płk. Jana Rzepeckiego, zapowiadany już od wielu miesięcy, rozpoczął się na koniec 4 stycznia i z miejsca stał się sensacją polityczną dla jednych środowisk, dramatem Polski dzisiejszej dla drugich, a sygnałem ostrzegawczym — dla trzecich.

Sensacją polityczną — gdyż zeznania pierwszego szefa WiN i b. szefa Delegatury Sił Zbrojnych na Kraj — były w swej najbardziej dramatycznej części oskarżeniem wicepremiera Mikołajczyka, przez oskarżonego nazywanego „premierem AKowców”, o to, iż przyjechawszy w czerwcu 1945 roku do kraju nie potrafił pomóc akowcom w ich ciężkim położeniu, nie ujawnił żadnej ochny kontaktów z Rzepeckim, nie odpowiedział na list Rzepeckiego, wreszcie nie uczynił żadnego znaku wskazującego podczas akcji ujawniania się podjętej przez Radosława, że ujawnianie się takie uważa za celowe,

kampanii wrześniowej, jak i co do naszych posunięć dyplomatycznych w wielu wypadkach nie pokrywają się zupełnie z ówczesnym stanem rzeczy.

Niestety, wypowiedź Jasienicy, zamiast wywołać rzeczową dyskusję, wywołało szereg jadowitych polemik, zachłystujących się oburzeniem i zgorszeniem, insynuujących autorowi artykułu chęć szerezenia „legandy sanacyjnej”, „wbijanie klina” w polsko-sowieckie stosunki itp. W rezultacie zamiast dyskusji zostało o publikowanych poprosu napadów na Jasienicę, na które on zresztą słusznie nawet nie odpowiedział.

W istocie, zostały zastosowane niedozwolone „chwytów” polemiczne. Dobrym zwyczajem polimicznym jest rozprawianie o tym co przeciwnik powiedział, a nie o tym co „chciał”, czy „mógł” on chcieć powiedzieć. Z drugiej strony, jeśli już przechodzi się od treści pojedynczego artykułu do problemu ogólnej orientacji publicysty, to nie od rzeczy byłoby zapoznać się z całokształtem jego twórczości. Na tej zasadzie polecamy w szczególności p. R. Matuszewskiemu, który swą polemikę z Jasienicą dwukrotnie drukował w „Polsce Zbrojnej” i w „Kuznicy” (nowy obyczaj, bez wskazania przedruku), artykuł Pawła Jasienicy drukowany w „Dziś i Jutro” (Nr 7 (13) „Problemy słowiańskiego porozumienia”. W pracy tej Jasienica zajmuje się w sposób najbardziej pozytywny zagadnieniem stosunków polsko-sowieckich, co dowodzi samo przez się o niesłuszności osądzenia go o wrogie intencje w tej dziedzinie. W stosunku do polemiki p. „Jaszczka” z „Odrodzenia” nasuwa się natomiast zapytanie — jak należy rozumieć owo „przyciśnięcie pazurów” publicysty, czego się on dwukrotnie w stosunku do Jasienicy domagał. Jeśli bowiem p. „Jaszczka” potrafił tego dokonać swą polemiką — to prosimy, jeśli zaś nie — to do kogoż ta apostrofa?

Przechodząc jednak od metod do meritum sprawy, trzeba stwierdzić, iż wiele wątpliwości budzi poruszony przez p. Matuszewskiego problem „tworzenia legendy” wokół kampanii wrześniowej. Jesteśmy, niewątpliwie, wszyscy zgodni z tym, że należy okoliczności, towarzyszące klęsce wrześniowej, do końca wyjaśnić. Jesteśmy nawet zdania, iż jest obowiązkiem historyka wykazać najdokładniej lekkożytność i nieudolność tych, którzy doprowadzili armię polską do stanu kompletnego nieprzygotowania do nowoczesnej wojny. Jednak historia wojskowa ma zupełnie specyficzne miejsce w dziejach narodów, i niezależnie od tego, jak w przyszłości ułoży się stosunek Polaków do wojny i do walki zbrojnej, trzeba stwierdzić, iż dotychczas miały te czyny miejsce uprzywilejowane. Nie tylko u nas, u każdego zdrowego narodu. Wokół każdej wojny wyrasta legenda. Legenda, opiewająca wartość dokonanego poświęcenia. Francuzi potrafili czcić grenadierów spod Waterloo, potrafili czcić pokonanego pod Sedanem Mac Mahona, a

Rosjanie obrońców Sewastopola z czasów kampanii krymskiej. A przecież to były wojny, przegrane. Nie widzę racji, byśmy mieli zajmować wobec armii polskiej i kampanii wrześniowej 1939 roku inne stanowisko. Nie widzę racji wytykania specjalnie jej „sanacyjności” i kompromitowanie jej, wraz z reżimem, który był za klęskę odpowiedzialny.

Zarzuca p. Matuszewski, że Jasienica wyszukuje nazwiska dowódców z 1939 r., „brzmiące jak tajemnicze zaklęcia”, ulega „magii tych nazwisk”. „Nikogo nie interesują nazwiska generałów, którzy przegrali wojnę” — dodaje on z przekąsem. W tych słowach brzmi już oburzająca niesprawiedliwość i elementarny brak poczucia tradycji wojskowych u pisarza, który sam nosi stopień oficerski. Interesują nas nazwiska generałów, dowódców nawet, gdy przegrywają wojny. Interesuje nas nazwisko Chodkiewicza, choć przegrał pod Cecorą. Nie dla wszystkich zaś nazwiska dowódców polskich z roku 1939 brzmią jak tajemnicze zaklęcia. Bo dla mnie na przykład — nazwiska takie, jak Miot-Fijałkowski, Podhorski, czy Kleeberg, to nazwiska dowódców, pod którymi walczyłem. Interesuje nas każde nazwisko, a przy tym komentarz — czy spełnił swój żołnierski obowiązek jak potrafił najlepiej, czy też nie. Wreszcie, niezależnie od problemu politycznych przekonań — trzeba pamiętać, że te nazwiska jak „tajemnicze zaklęcia” powstały jeszcze w bitwach pierwszej wojny światowej, lub kampanii 1920 roku. A nie widzę powodu wymazywania z historii zagonu na Koziatyn, walk pod Kijowem, pod Warszawą, czy nad Niemnem, bo zmieniły się stosunki polsko-sowieckie. Francuzi nie wymazywali ani Trafalgaru, ani Waterloo w czasie wojny światowej, ani Amerykanie tym bardziej Saratogi.

Obustronne przewrażliwienie jest niewątpliwie przyczyną wielu trudności w układaniu dobrych stosunków polsko-rosyjskich. Nie jest też rzeczą słuszną, jak robi to niewątpliwie p. Matuszewski, celowo umniejszać znaczenie polityczne kampanii wrześniowej, by ukrywać niewątpliwie starcie się interesów w roku 1939. Możemy dziś zastanawiać się nad tym, czy było ono do uniknięcia, możemy jednak śmiało analizować wszelkie konsekwencje polityczne kampanii wrześniowej. Nie przeceniając wartości naszego oporu, trzeba jednak stwierdzić, iż nie kapitulując, oddaliśmy sprawie sprzymierzonych, a więc i Rosji, rzetelną przysługę.

Reasumując: ton polemiki z artykułem Jasienicy był, niewątpliwie, najniżej, ściślej i przyczynił się tylko do zawiązania problemów, nie zaś do ich wyjaśnienia; problem wartości oporu polskiego w drugiej połowie kampanii, jakkolwiek mnie się wydaje przesądzony negatywnie, wymaga jeszcze fachowego naświetlenia szczegółowego, próba natomiast „odbronzawiania” kampanii ze względu na jej polityczno-personalny podkład, wydaje się być najzupełniej nieusprawiedliwiona, ani z punktu widzenia tradycji wojennych, ani godności narodu.

Wojciech Kętrzyński

PROCES RZEPECKIEGO

czy wskazane. Według Rzepeckiego stanowisko Mikołajczyka dezorientowało podziemie i wzbudzało gorycz, utrudniając właściwą ocenę sytuacji, tym więcej, iż Mikołajczyk przeprowadził skutecznie akcję zalegalizowania własnego stronnictwa i ujawnienia B. Ch. — Na marginesie tego dramatycznego oskarżenia wypada zauważyć obserwatorowi bezstronnemu, że postępowanie Mikołajczyka niewątpliwie było dezorientujące dla b. AK, ale też wstrzymanie się od pertraktacji, rozmów czy korespondencji z Rzepeckim wystawia mu — jako wicepremierowi Rządu Jedności Narodowej — raczej dotadną cenę.

Dramatem polskim nazywamy zeznania Rzepeckiego dlatego, iż dla nas, ludzi ongiś związanych ze środowiskiem AK, podwładnych lub współpracowników tych, którzy dziś siedzą na ławie oskarżonych, — dla nas zeznania Rzepeckiego,

jego usprawiedliwienie przyczyn, jakie złożyły się na kontynuację podziemia pod postacią WiN — są przede wszystkim obrazem niesłychanego haosu ideowego, niesłychanej beczradności ideowej i koncepcyjnej, w jaką zabrnęło podziemie. Człowiek tej miary, co Rzepecki — ten Rzepecki usprawiedliwiający decyzję kon-

WYJAŚNIENIE.

W związku z zapytaniem o stanowisko Redakcji w sprawie postawy jednego z naszych czytelników w dyskusji „Wokół problemu etyki małżeńckiej”, wyjaśniamy, że stanowisko to będzie ujęte w artykule, który się ukaze w jednym z najbliższych numerów „Dziś i Jutro”.

Natomiast pogląd p. Chęcińskiego wyrażony w wymienionym liście jakoby pód posiadał duszę dopiero w chwili urodzenia, jest, rzecz prosta, niezgodny z nauką katolicką, co zostało zresztą umieszczone w uwadze redakcji przy korespondencji, nie znalazło się w numerze jedynie w błąd błąd drukarni.

tynuowania podziemia, nie czyni tego przeciwstawieniem ideowej koncepcji, re. prezentowanej przez rząd lewicowy żadnej swojej ideowej kontr-koncepcji, żadnej ideowej myśli twórczej. Nie rzuca — choćby z ławy oskarżonych — żadnego oskarżenia pod adresem reżimu. Nie! Przeciwnie. Zgadza się z reformami, ich niedoskonałość sam usprawiedliwia powojennymi trudnościami. Nie mówi nawet wyraźnie, nie próbuje uzasadnić głębiej — a tylko formułuje to mgliście „nie odpowiadały nam pewne praktyki administracyjne“. Organizację WiN usprawiedliwia tym, że obawiał się, iż całkowicie zdeorganizowani żołnierze podziemia przejdą pod wpływem wrogiemu NSZ. To wszystko mało. Konspirację podziemną można by usprawiedliwiać tylko jakimś potężnym nurtem ideowym, jakąś potężną koncepcją ideową. A tej znaniam Rzepeckiego brakowało. Z za słów jego, spokojnych i rozsądnych, wyzierała tylko rozpaczliwa beznadziejność i bezradność. Oderwał się od rządu lon-

dyńskiego — gdyż nie uznawał już go za reprezentacyjny dla polskiej racji stanu. Nie ujawnił się rządowi warszawskiemu, gdyż mu nie ufał. Odpowiadały mu zasadniczo reformy — krytycznie odnosił się do praktyk administracyjnych. Bał się, by jego żołnierze nie dostali się pod wpływy NSZ. I to wszystko. Nie — nie wszystko. W 24 godziny po aresztowaniu stwierdził, iż WiN toczy się po równi pochyłej, — w kierunku, jakiego nie zamierzał jego pierwszy komendant, I jakiej nie przewidział. — To wszystko mało. To wszystko o wiele za mało, by za to ludzie mieli się mordować w podziemiach, żyć nielegalnie, ginąć, siedzieć w więzieniach, lub staczać się po równi pochyłej bandytyzmu.

Oto dramat! Nie dlatego dramat, że beznadziejnym i bezradnym jest, czy był Rzepecki i jego towarzysze. Ale dlatego, że w takiej beznadziejności i bezradności znajduje się jeszcze znaczna część naszego społeczeństwa. Rzepecki reprezentuje

tu tylko pewien stan psychiczny — nie jemu tylko właściwy.

Wreszcie sygnałem ostrzegawczym w nien być ten proces dla tych wszystkich, którzy po dziś dzień tkwiąc w tragicznym podziemiu — nie zdają sobie jeszcze sprawy, iż czas podziemia już minął. Iż ich pozorna walka nie jest w stanie nic zmienić — a tylko przybliży ich do krat więziennych. Ten sygnał ostrzegawczy wzmocniony został jeszcze aresztowaniem — właśnie w dniu rozpaczliwych zeznań Rzepeckiego — trzeciego z kolei szefa komendy głównej WiN. Jest to dowód nie tylko sprawności Władz Bezpieczeństwa. Jest to dowód przede wszystkim rozkładu samego podziemia. Rozkładu poczętego w bezradności i bezprogramowości ideowej, politycznej i koncepcyjnej.

Czy nad tym zastanawia się czwarty z kolei komendant WiN?

Jest to sprawa, do której powracać jeszcze będziemy nie raz.

K-Kk

NASZA ANKIETA

Odpowiedź na ankietę! Dotyczy głównie punktu pierwszego i siódmego.

Trudno pisać o poglądach pisma, nie znając dobrze samego zespołu redakcyjnego. Moja charakterystyka zamknęłaby się raczej w syntezie tendencji ideowych zespołu, z którą trudno będzie się pogodzić wszystkim członkom redakcji, mającym zawsze pewne indywidualne odchylenia w pojmowaniu poszczególnych zagadnień. Charakteryzować poglądy siódmego pisma, to przyczynić się tym samym do konkretyzacji jego kręgosłupa ideowo-politycznego, rozszyfrować jego podświadomą moce dotychczas jaźń. Obawiam się, że rozwiązania moje nie będą aż tak trafne.

Cechą charakterystyczną pisma — dominującą od pierwszego rzutu oka — są ogólne tendencje prawicowe, wyraźnie odróżniające je od pism lewicowych. Następna cecha są tendencje katolickie — zawiązujące czasem nawet o mistycyzm religijny. W dalszym różniczkowaniu wpadamy w kłopot — a raczej w cocktail, który się jeszcze nie wyklarował i nie sfermentował swych domieszek ciężko strawnych. Te domieszki przeszłości dominują w duszach poszczególnych pp. Redaktorów (przez duże R) i one są może przyczyną nieporozumień i niezrealizowania dotąd reprezentacji politycznej. Zresztą tych przyczyn jest jeszcze dużo więcej.

Podłożem zasadniczym, na którym wspiera się cały gmach luźnych tendencji pisma — jest światopogląd katolicki chrześcijański — z całą tradycją „międzynarodówki“ katolickiej i jej systemem myśli, której początki datują się w średniowieczu, czego się — o zgrozo! — katolicy wcale nie wstydzą.

Każdy bowiem o tym wie, że kierunek katolicko-społeczny myśli swą sięga daleko wstecz, aż do św. Tomasza z Aquinu i innych uczonych średniowiecza, którzy pierwsi zaczęli wiązać problemy religijne, moralne z zagadnieniami społecznymi i gospodarczymi.

Wraz z rozwojem przemysłu w XIX w. i powstaniem problemu robotniczego, oraz koniecznością reform społecznych, ukazując się 15 maja 1891 r. encyklika papieża Leona XIII „Rerum novarum“. W czterdziestoletnią rocznicę jej wydania — 15 maja 1931 r., papież Pius XI, wydaje encyklikę „Quadragesimo anno“ — streszczając encyklikę Leona XIII i rozwijając dalej katolicką myśl społeczną. Z terenu międzynarodówki katolicyzmu społecznego wymienić należy Le Play'a i kilku innych Francuzów, Belgów etc., którzy pozostawili dość duży dorobek myśli.

Na naszym narodowym podwórku mamy co prawda też dosyć dużo ciekawych rozważań. Segregują się one raczej w płaszczyźnie partyjnej z indywidualnymi odchyleniami od skrajnego konserwatyzmu do radykalnego rewolucjonizmu społecznego, względnie biernego na ogół dogmatyzmu religijnego.

Dużo dorobku polskiej myśli katolickiej, z różnorodnym programem reform, powstało podczas okupacji niemieckiej, a większość redaktorów pisma jest dalszymi kontynuatorami tych dążeń.

Nie o przeszłości nam jednak pisać, a o dniu dzisiejszym, o roli ruchu katolicko-społecznego w Polsce współczesnej i jego założeniach ideowych.

Rolą zasadniczą ruchu jest uzgodnienie ścisłej współpracy Kościoła, Państwa i Związków Zawodowych — używając obecnego terminu, jednoczących pracowników i pracodawców, zorganizowanych wg myśli politycznej katolików, w ramach polskiego państwa narodowego (lub jak

kto woli ludowego). Jest to kierunek umiarkowany, łączący pierwiastki tradycji z ewolucjonizmem — przechodzącym czasami nawet w radykalizm, o ile zachodzi konieczność szybkich przekształceń.

Podstawowymi zasadami — to idee solidarności, sprawiedliwości i miłości bliźniego, oparte na światopoglądzie spirytualistycznym, będące odwróceniem o 180 stopni idei walki klas i materializmu dialektycznego marksistów, syndykalistów i socjalistów. Podstawą ustroju ma być **własność prywatna**. Pius XI w swej encyklice pisze, że zniesienie własności prywatnej nie wyjdzie na korzyść warstwy robotniczej, lecz na ostateczną jej zgubę. A brak podziału i wspólnota prowadzi wg św. Tomasza do faktycznej usurpacji ze strony silniejszych. Zresztą nie będziemy się zgłębiać zbytnio w tym zagadnieniu, wymagającym szerszego omówienia. Ta własność prywatna nie ma jednak prowadzić do kapitalizmu, a do upowszechnienia prywatnej własności. Ma bowiem służyć jednostce i społeczeństwu. Słowem własność prywatna ma ulegać stopniowemu „uspołecznianiu“ — jakby to nazwał socjalista, przez tworzenie spółek własności, korporacji, rozdrabniających wielką własność, unikając komuny i kapitalizmu. Droga do tego prowadzi przez różnego rodzaju kasy kompensacyjne, oszczędzanie, system słusznego płac i wiele innych rzeczy, wymagających pióra ekonomisty.

W stosunku do jednostki kierunek przeciwstawia się skrajnemu indywidualizmowi, jak i totalizmowi, żądając równowagi i harmonii, odrobiny karności i dyscyplinowania. Odrodzenie zaś świata i wszelkich bolączek widzi w przebudowie psychiki i odrodzeniu moralnym człowieka. Człowieka — przez duże „C“.

Sądzę, że cecha charakterystyczna będzie też i przeciwstawianie się liberalizmowi i wolnej konkurencji, która prowadzi do monopolu i przewagi grupy kredytowej.

Zresztą, jako katolicy — dalecy jesteśmy od liberalizmu i socjalizmu. Faszyzm zdyskredytował już dawno nawet Dmowski — choć później na tym też powstał rozłam wśród prawicy i wyłamanie się jednostek skrajnych, które poszły na lep pozorów.

Dążymy do jedności duchowej Polaków ponad nacjonalizmem, komunizmem, faszyzmem, socjalizmem i innymi „izmami“.

Głosimy hasło zjednoczenia wszystkich Polaków pod sztandarami narodowymi i Krzyżem Świętym, wierząc w przełom świadomości narodowej, powstały po wojnie, z którego narodzi się inna, nowa rzeczywistość, której historia nada dopiero miano.

Wołamy o myśl jasną i dla wszystkich zrozumiałą. O wytworzenie płaszczyzny jedności duchowej Polaków ponad ich dotychczasowymi kategoriami myślenia. Płaszczyzny, na którą wdrapali się już dawno Anglicy, Szwedzi, Czesi, a którą musimy nareszcie zacząć tworzyć — bo inaczej wszelkie działania wisieć będą dalej w pustce ideologicznej, której żaden przymus nie zdoła zapełnić, a żaden najbardziej nawet despotyczny rząd zastąpić.

Dla sprawnego funkcjonowania naszego organizmu społecznego konieczną jest wspólna wszystkim myśl, wspólne przekonania i podobnie rozumiane problemy — prowadzące do atmosfery wzajemnego zrozumienia i zgody. Bez tego zaś żadna praca nie da trwałych rezultatów — zwłaszcza zaś z naszym polskim elementem.

Co nas jeszcze cechuje — to może podświadomy pęd do logicznej hierarchii — tak charakterystyczny dla Kościoła Katolickiego. Znaczący prawa kanoniczne otwarcie przyznają, że struktura prawna Kościoła Katolickiego jest natury monarchicznej. Przez ciągłe stykanie się z Kościołem, wytworzył się w naszej psychice rezonans, charakteryzujący nasze tendencje polityczno-społeczne — jako zbliżone do zasad, pozwalających na silne rządy jasnych i mądrych ludzi, do których wszyscy mają zaufanie i szacunek, wyłonionych ze społeczeństwa systemem demokracji. (W ten, lub podobny sposób rozumuje prawie całe moje pokolenie).

My, katolicy, włożyliśmy duży wkład krwi i pracy w wyzwolenie Polski.

Jesteśmy za stworzeniem narodowego Państwa Polskiego z frontem na Zachód i Północ!

Jesteśmy za przeprowadzeniem radykalnych reform społecznych, podniesieniem stopy życiowej, uszlachetnieniem moralnym jednostek i narodów, za odbudową świata na nowych zasadach.

Głosimy Treuga Dei wewnątrz państwa i na arenie międzynarodowej. Oraz żądamy zrozumienia naszego pozytywnego ustosunkowania się do rzeczywistości i chęci pracy nad wspólną Sprawą.

Nie znam bliżej trudności, związanych z formowaniem się ciała politycznego, mającego reprezentować poglądy katolików. Nie wiem też, czy naszkicowane tutaj poglądy odpowiadają szerszym masom. Trudno, tak bez dyskusji, złapać prawdę za nogi...

Wiem jednak jedno — ciężko się czasem dogadać literatowi z politykiem. Już Bismarck coś mówił tam o naszym kraju, gdzie politycy są poetami, a poeci politykami — co się dotychczas sprawdza (vide — minister w rządzie). Nic więc dziwnego, że trudno jest stworzyć z małżeństwa byłych działaczy politycznych o pewnych ambicjach oraz i z nowych talentów literackich — od razu dobrane stadło, a w dodatku zaraz mieć dzieci. Program ustalić można na pierwszym zebraniu, lub na dziesiątym z kolei. A wyłowić z luźnych tendencji jasne dla wszystkich twierdzenia — to chyba literaci potrafią.

Zerwać też trzeba z duchem dawnej prawicy polskiej, potłumić doskonale intrygować — lecz nie umiejącej po prostu działać.

Mówię to, bo jestem młody i straciłem wiarę w geniusz starszych pokoleń...

Mam szacunek dla ich siwych, lub szpakowatych włosów, względnie łysiny — lecz nic na razie nie wskazuje na to, aby mi ta wiara w nich wróciła.

Jeśli kto ma dać coś naprawdę nowego życiu polskiemu, dać to co Osmańczyk nazwał „trudnym myśleniem“ — to tym kimś możemy być tylko my młodzi, nie-dobitki pokolenia, które dziwnym trafem ocalały. Razem z doświadczeniem starszych pokoleń reprezentować musicie interesy i światopogląd chrześcijański.

Rola pisma katolickiego zamykać się więc winna w tworzeniu wspólnego dla wszystkich katolików języka światopoglądowego i politycznego. Koniecznym zaś do tego jest stworzenie lekko redagowanego pisma codziennego. Naturalnie zespół redakcyjny winien zapoczątkować organizowanie faktycznej reprezentacji politycznej.

Proszę mi wybaczyć tych kilka uwag, z których każda wymagałaby szczegółowego opracowania. W każdym razie tak mniej więcej wygląda moja odpowiedź na ankietę.

Naturalnie jest to tylko materiał dyskusyjny.

O etykę dziennikarską

W tygodniku „Chłopska Droga“ w Nr 41 z dnia 13—19 października 1946 roku na str. 8 pojawił się artykuł p. t. „Kosztowna dyspensacja“, zawierający niezgodne z prawdą wiadomości i w wysokim stopniu krzywdzący i zniesławiający tarnowską Kurię Diecezjalną.

Autor artykułu podpisany literami W. W. twierdzi, że Jan Bobowiec, zamieszkały w Samocicach pow. Dąbrowa k. Tarnowa, chciał ożenić swojego syna Wiktora z Genowefą Ciepiałą, spokrewnioną z Wiktorem w trzecim stopniu. Miejscowy Proboszcz przyjąwszy na zapowiedzi, napisał do Kurii Diecezjalnej w Tarnowie prośbę o udzielenie dyspensy od pokrewieństwa. Nie mogąc się przez dwa miesiące doczekać odpowiedzi z Kurii, ojciec Wiktora sam pojechał do Kurii, gdzie rzekomo powiedziano mu, że sprawa trudna i musi kosztować dużo i za załatwienie tej sprawy na poczekaniu musiał zapłacić 66.000 zł.

Sprawa natomiast przedstawia się następująco:

1. Dnia 3 czerwca 1946 r. wpłynęła do Kurii prośba o udzielenie dyspensy od trzeciego stopnia pokrewieństwa. Następnego dnia, t. j. 4 czerwca, dyspensy udzielono i wysłano pocztą reskrypt. Z okazji uzyskania dyspensy, złożył Wiktor Bobowiec na ręce Proboszcza dobrowolną ofiarę w kwocie 500 zł., którą Proboszcz przesłał do Kurii.

2. Ani narzeczony Wiktor Bobowiec, ani jego ojciec, ani też żadna inna osoba nie była w Kurii z prośbą o przyspieszenie sprawy, gdyż przyspieszenia nie było potrzeba, skoro sprawa zaraz na drugi dzień była załatwiona i odesłana.

3. Kuria nie nakłada i nie ściągła o ustalonej wysokości taks od dyspens małżeńskich, przyjmuje natomiast dobrowolne ofiary, złożone z okazji uzyskania dyspensy, których wysokość zostawia dobrowolnej ofiarności petentów. Od ubogich nie wymaga i nie przyjmuje żadnych ofiar.

Wysokość składanych z okazji otrzymania dyspensy ofiar waha się między 50 a 200 zł.; przeciętnie wynosi 100 zł.

Wypadki złożenia wyższej niż podane ofiary, są bardzo rzadkie. Do nich należy omawiany wypadek Wiktora Bobowca, który złożył dobrowolnie ofiarę w kwocie 500 zł., jak to stwierdza pisemnie wobec świadków i on sam i Ksiądz Proboszcz Dybiec.

Kuria Diecezjalna wysłała do redakcji tygodnika „Chłopska Droga“ sprostowanie, żądając zgodnie z obowiązującymi przepisami ustawy prasowej umieszczenia tegoż w najbliższym numerze tygodnika. Redakcja jednak zignorowała żądanie Kurii i nie umieszczała sprostowania. Wobec tego sprawę skierowano do Sądu.

Ponieważ sprawa nabrała jednak pewnego rozgłosu, o czym świadczą z dalekich nawał stron nadsyłane zapytania do Kurii, dlatego Kuria Diecezjalna chce publicznie w prasie dać wszystkim interesującym się tą sprawą zgodne z prawdą wyjaśnienie, odeprzeć rzucone nań oszczerstwo i podkreślić, że zawsze i wszystkich obowiązują najelementarniejsze choćby zasady etyki i przyzwoitości, która każe popełniony własny błąd sprostować i naprawić wyrządzoną przez to drugiemu moralną krzywdę.

Józef Angrabajtis

Kraków — ul. św. Tomasza Nr 20
Rok założenia 1895

Polecane hurtownie i detalicznie:
DEWOCJONALIA WSZELKIEGO RODZAJU w dużym wyborze oraz KSIĄŻKI DO NABOŻEŃSTWA obcego i własnego nakładu.

Odbiorcy zamiejscowi za zaliczeniem

Redaguje: Kolegium redakcyjne.

Adres Redakcji i Administracji: Marszałkowska 81 m 17, tel. 380 71. Konto P. K. O. — Nr I—727. Adres Oddziału Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.
Redaktorzy przyjmują: W. Bienkowski we wtorki, czwartki i piątki g. 11—13, J. Dobraczyński w poniedziałki i środy g. 11—13, W. Kętrzyński w środy g. 13—14,30, soboty g. 12—14.

Prenumerata miesięczna 40 złotych, kwartalna 120 złotych

Złożono w Zakł. Graf. „Dziwnia“ Widok 24 B.17534

Odbito w Drukarni „Czytelnik“ Nr 2, Marszałkowska 3/3.

Wydawca: Kolegium redakcyjne.

Krakowskiego: Kurkowa 5 m. 4.

W. Kętrzyński w środy